NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. | Kraków, 3 listopada 1906 r. | Nr. 44.

Bandyta w mundurze.

(Treść na stronie 17 i 18).



Numer niniejszy zawiera stron 32.

Nasze fotografie z Wawelu.

W głównej Administracyi naszego pisma w Krakowie (ul. Zacisze 7), oraz w Biurach G. Ungra w Warszawie (aleja Jerozolimska 78 i ul. Wierzbowa 8), można zamawiać fotografie pamiątkowe z Wawelu i ze Skałki, których reprodukcye, wykonane we własnej cynkotypii, zamieszczamy w niniejszym numerze z okazyi obchodu Dni Zadusznych. Są to zdjęcia fotografa „Now. Illustrowanych“ W. Lisa, których dokonał w trudnych warunkach, za specyalnem pozwoleniem, aparatem redakcyjnym, przy zastosowaniu sztucznego oświetlenia własnej konstrukcyi. Fotografie te przedstawiają: I. na Wawelu: 1. wejście do katedry, 2. dzwon Zygmunta. 3. srebrna trumna św. Stanisława, 4. grób A. Mickiewicza; groby królewskie: 5. krypta św. Leonarda z sarkofagami Jana Sobieskiego, Marysienki, Władysława IV, Michała Korybuta, 6. sarkofag Tadeusza Kościuszki, 7. książę Józef Poniatowski, 8. grób Stefana Batorego, 9. krypta z trumnami: Jana Alberta, Zygmunta III, Aleksandra Karola, Anny Austryaczki i Anny Maryi, 10. grób Anny Jagiellonki, 11. grób Jana Kazimierza, Ludwiki Maryi Gonzagi i Zygmunta Augusta, 12. grób Zygmunta I Starego; II Na Skałce: 13. krypta Zasłużonych z trumnami J. I. Kraszewskiego i Henryka Siemiradzkiego na przedzie; 14 grób Adama Asnyka.

Komplet powyższych 14 fotografij w dużym formacie (18×24) na kartonie, kosztuje w Krakowie i w Galicyi 25 koron, w Warszawie i w Królestwie 12 rubli, za poprzedniem nadesłaniem należytości.



Bandyta w mundurze: Słynna komedya w Koepenick: fałszywy kapitan gwardyi w biurze skarbnika miejskiego, barona von Wiltburga.

Starogrecki poeta w XX. wieku.

W dziejach piśmiennictwa polskiego złotemi zgłoskami zapisały się nazwiska klasyków polskich, którzy w języku łacińskim wyśpiewali najcudniejsze pieśni, dorównujące niejednokrotnie poetom i pisarzom łacińskim z doby najpiękniejszego rozwoju rzymskiej literatury. Dantyszek, Janicki, Sarbiewski, to artyści pióra, którymi snadnie szczycićby się mogli Rzymianie. Humanizm i w innych krajach wydał mężów nadzwyczajnych, wszysc jednak pisali tylko po łacinie, a nawet najwybi niejsi helleniści polscy, Klonowicz i Szymonowic nie odważyli się w języku starych Greków tworzyć i pisać. Nie brakło i u nas w czasach humanizmu ludzi, którzy płynnie mówili po grecku, pisano nawet w tym języku drobne wiersze i epigramaty, ale nikt nie miał odwagi kontynuowa w helleńskiej mowie tradycyj Sofoklesa, Pindar lub Arystofanesa. Humaniści wszystkich krajów posługiwali się wyłącznie językiem łacińskim. Tem bardziej zadziwi więc niejednego wiadomość, że nie przed czterystu laty, ale w naszych czasach znalazł się człowiek, który pokusił się o laury Sofokla i w ostatnich kilku latach napisał w najczystszym starogreckim języku trzy dramaty, stojące na wyżynie sofoklesowskiego artyzmu tak pod względem głębi filozoficznej, jak i czarownej piękności języka bohaterów z pod Termopil. Co dla nas ważniejsze, to fakt, że człowiekiem tym jest — Polak, pierwszy od półtora tysiąca lat poeta grecki w wielkim stylu, a fenomen ten żyje na nędznym partykularzu galicyjskim.



Bandyta w mundurze: Znany milioner i prawnik niemiecki, dr. Langerhaus, burmistrz w Koepenick, którego aresztował fałszywy kapitan gwardyi.
(Treść na stronie 17 i 18.)

Jest to profesor polskiego gimnazyum w Kołomyi, Bonawentura Graszyński. Wydał on w r. 1897 w Lipsku dramat po grecku pt.: „Hagia Sofia“ (Święta mądrość), a w dwa lata później drugi pt.: „Hestias“ (Westalka). Obecnie w lwowskiem organie Towarzystwa filozoficznego „Eos“ ukazał się dramat trzeci, stanowiący niejako środek obu poprzednich pt.: „Anastaris“ (Wniebowzięcie). Wszystkie te trzy utwory, połączone jedną ideą filozoficzną, mają na celu uwydatnienie ducha religijnego pierwszych wieków chrześciaństwa. Tematem jest spór między Pięknością a Mądrością, która zwycięża. „Święta mądrość“ dzieje się w sferze mistycyzmu teologicznego, „Wniebowzięcie“ za czasów apostołów, a „Westalka“ za panowania Juliana Apostaty. Utwory te, wierszem pisane, są — jak zapewnia jeden z wybitnych filologów polskich (dr Sinko) — po grecku piękniej, aniżeli w IV wieku po Chrystusie pisał św. Grzegorz z Aryanzu. W kołach uczonych za granicą nazwisko prof. Graszyńskiego odrazu po wydaniu „Świętej mądrości“ zyskało sobie rozgłos i uznanie; u nas zwróciło nań uwagę dopiero ogłoszenie drukiem „Wniebowzięcia“.

Kyr Bonuenturas Grasinios — tak brzmi shellenizowane nazwisko poety — jest w dziejach literatury wszechświatowej zjawiskiem fenomenalnem, a tem ciekawszem, że nie jest on zgreczonym Polakiem, ale czystej krwi Wielkopolaninem, który prawdopodobnie nawet Grecyi nigdy nie widział. Bujna wyobraźnia, wsparta doskonałą znajomością starej kultury bizantyńskiej, pozwala mu wyczuwać znakomicie starożytne stosunki i w wiązanej mowie bogów śpiewać językiem Homera. Polska nauka może się nim szczycić tak, jak renesans włoski Michałem Aniołem.

Na koniec przytoczymy obok portretu kilka dat z życia prof. Graszyńskiego. Urodził się w r. 1859 w Wielkopolsce. Studya gimnazyalne odbywał przeważnie w Lesznie w Poznańskiem, a uniwersyteckie w Gryfii na Pomorzu, gdzie poświęcał się głównie sanskrytowi i filologii klasycznej pod kie-



Bandyta w mundurze: Słynna komedya w Koepenick: fałszywy kapitan gwardyi w biurze burmistrza.

runkiem znakomitych uczonych. Złożywszy w roku 1887 egzamin na nauczyciela gimnazyalnego w Gryfii, odbywał przez dwa lata, jako kandydat próbny, praktykę w biskupim pałacu w Hildesheim, poczem przez lat 16 był nauczycielem prywatnym w Poznańskiem. Przed trzema laty przybył do Galicyi i otrzymawszy posadę prowizorycznego nauczyciela gimnazyalnego w Stryju, zgłosił się ponownie do rządowego egzaminu z filologii klasycznej. Zamiast prac domowych przedłożył — dwie własne tragedye greckie. Ministeryum przyznało im równorzędność z pracami i poeta-filolog został profesorem gimnazyalnym w Kołomyi, nieznany szerszym kołom, aż dopiero ogłoszenie drukiem trzeciego jego dramatu uczyniło go głośnym.

Złotousty kaznodzieja biskupem.

(Do portretu na str. 17).

Powszechnie znany i w Krakowie niezwykłą cieszący się sympatyą prałat ks. dr Władysław Bandurski, długoletni kanclerz książęco biskupiego konsystorza. mianowany został biskupem sufraganem lwowskim i zaszczytne to stanowisko obejmuje już z dniem 1 stycznia 1907 r.

Nominacya ks. Bandurskiego, jako widomy znak jego pracy i zasług, wywołała w szerokich sferach naszego miasta z jednej strony żywą radość, z drugiej zaś serdeczny żal, gdyż nominacya ta oznacza rozłąkę z kapłanem powszechnie szanowanym, zasłużonym w działalności narodowej, kościelnej i społecznej. Kim był dla Krakowian dr Bandurski, o tem pisać nie potrzeba. Dość wspomnieć, że jako kapłan był luminarzem swego szczytnego powołania; jako człowiek i obywatel był jednym z tych, dla których praca dla dobra bliźnich i narodu jest nie tylko obowiązkiem, ale serdeczną potrzebą; jako patryota wiernym synem swej ojczyzny, którą kocha całą siłą swego szlachetnego serca.

Przez szereg lat, ks. Bandurski, jako kanclerz książęco-biskupi, dzierżył faktycznie ster rządów dyecezyi krakowskiej w swych rękach i pomimo wyczerpującej pracy na tem tak trudnem i odpowiedzialnem stanowisku, znajdował jeszcze zawsze dość czasu na dzieła miłosierdzia. Uboga młodzież szkolna miała w nim serdecznego opiekuna i ojca, który jej zawsze dłoń życzliwą podawał. ilekroć się do niego zwróciła. Opiekował się zakładami i instytucyami dobroczynnemi; zakład p. Żurowskiej dla opuszczonych dziewcząt na Zwierzyńcu jemu głównie zawdzięcza swe powstanie i dzisiejszy stan

To wszystko nie wyczerpywało jednak wszechstronnej jego działalności. Ks. Bandurski zasłynął w całym kraju jako znakomity, natchniony kaznodzieja. Jego kazania podczas uroczystości i obchodów narodowych, kazania nacechowane gorącem umiłowaniem ojczyzny i narodu, tchnące płomienną wiarą w lepszą przyszłość, wyciskały łzy z oczu każdemu, kto chociaż raz je słyszał. Biła z nich moc i wiara w posłannictwo Polski, wiara silna w jaśniejszą przyszłość narodu, którego błędy widzi i wytyka... Podniosłe jego nauki na patryotycznych nabożeństwach ściągały zawsze tysiące pobożnych, którzy słowami złotoustego kaznodziei duszę chcieli krzepić i otuchy nabrać do walki Kazania jego porywały tłumy, bo były one odbiciem kryształnej prawości duszy każącego, wyrazem jego najświętszych przekonań, a przetoż miały w sobie moc iście czarodziejską.

Toteż u Krakowian zaskarbił sobie ks. prałat Bandurski wdzięczność i szacunek najwyższy. Nie wątpimy, że nie odjedzie on Krakowa bez łzy w oku, bo i on przywiązał się do naszego miasta, zżył się z niem i ukochał je. Miasto też postara się niewątpliwie o to, aby w odpowiedniej formie dać wyraz swej wdzięczności dla zasług kapłana-obywatela.

Ks. Bandurski, którego portret zamieszczamy dzisiaj, wyjechał obecnie na kilkutygodniowy wypoczynek Prekonizacya czcigodnego prałata na biskupa nastąpi na najbliższym konsystorzu papieskim.



Starogrecki poeta XX. wieku: Profesor gimnazyum polskiego w Kołomyi, Bonawentura Graszyński, Wielkopolanin, piszący wierszem po starogrecku dramaty, które stoją, zdaniem znawców, na wyżynie artyzmu Sofoklesowskiego.





Fot. aparatem redakcyjnym „Now. Illustr“. W. Lis w Krakowie.

Na cmentarzu krakowskim: Pomniki na grobach powstańców z r. 1830 i 31, oraz z r. 1863 i 64.

Na Powązkach.

Warszawianin powiada, że nie ma piękniejszego cmentarza nad Powązki. Może są gdzie piękniejsze parki żałobne, zaludnione grobowcami, ale to pewna, że nigdzie chyba nici serdeczne tak nie wiążą miasta żywych z miastem umarłych, jak Warszawę z Powązkami. Jedźcie tam na doroczny obchód Zaduszek, a przekonacie się najlepiej, czem ten wielki i wspaniały cmentarz jest dla Warszawian...

Obok grobowców z pomnikami mężów zasłużonych i sławnych, osób popularnych za życia, długoletnich ulubieńców publiczności, obfitują Powązki w mogiły, na których napisy nic nie mówią obcemu, a nie wiele nawet rodakom z innych stron, ale treść ich rozumie — sercem sama tylko Warszawa.. I o takich mogiłach drogich przez lat dziesiątki pamiętały najbardziej te rzesze tysięczne, które pielgrzymują co rok na Powązki w Dni Zaduszne.

A wśród owych mogił drogich była jedna od lat 45 dla Warszawy droższą nad wszystkie inne, zawsze pamiętną i ukochaną nad inne, mimo, że przez czas tak długi, nie wolno było jawnie o niej pamiętać... To „grób pięciu poległych“, pięciu pierwszych ofiar manifestacyj patryotycznych na ulicach Warszawy w roku 1861. Długo nie było napisu na tym grobie, ale kto w nim leży, wiedziało każde dziecko Warszawy. I dziś, lubo w ciągu paru lat ostatnich przybyło w Polsce tyle mogił świeżych, o których naród nigdy nie zapomni, Warszawa, jak po inne lata, będzie w Zaduszki tegoroczne pamiętała o tym „grobie pięciu poległych“, ukochanym nad inne, w owych czasach zwłaszcza, kiedy zbliżając się do niego, nie mówiło się głośno, a odnajdywało się jego miejsce na widok — armaty. Jest bowiem w sąsiedztwie tej mogiły niezwykły pomnik cmentarny w postaci lawety: to wieczysty grobowiec wynalazcy lawet wałowych, Jędrzeja Węglewskiego (ur. 1786) który z kanoniera z r. 1806 dosłużył się z latami stopnia generała majora. Zamieszczając dziś widok grobu pięciu poległych, podajemy obok również fotografię owej lawety na miejscu wiecznego spoczynku polskiego kanoniera.



Fot. A. Biegel.

Na Powązkach: Znajdujący się w najbliższem sąsiedztwie „grobu pięciu poległych“ na Powązkach w Warszawie, niezwykły pomnik-laweta, na mogile polskiego generała Jędrzeja Węglewskiego, wynalazcy lawet wałowych.

Od Redakcyi.

Znany autor Ludwik Stasiak napisał umyślnie dla „Now. Ill.“ powieść fantastyczną pt: „Przeklęta ruina“.

Autor wprowadza w niej Czytelnika w świat zaklętych księżniczek i błędnych rycerzy, w świat zapadłych zamków i zaczarowanych skarbów, powieść zaś swoją snuje wyłącznie na temat klechd, jakie z zamczyskami naszemi związała wyobraźnia polskiego ludu. Druk tej powieści zaczniemy w drugiej połowie bieżącego kwartału.



Fot, A. Biegel,

Na Powązkach: Najdroższa sercom Warszawian mogiła na cmentarzu Powązkowskim, do której w Zaduszki, pielgrzymują co rok tłumy tysięczne: pamiętny „grób pięciu poległych“ na ulicach Warszawy w czasie manifestacyj patryotycznych w 1861.



Fot. apar. red. „Now. Illustr“. W. Lis w Krakowie.

Na cmentarzu krakowskim: Krzyż pamiątkowy na grobie powstańców z r. 1848 na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.



Zapomniał drogi....

Szkic przez Gabryelę Zapolską.

Dziwił się Iwanicki w swym gabinecie, dlaczego dziś tak mało pacyentów przybyło.

Dzień jesienny, trochę chłodny — ale pogodny. Słońce nawet świeci. Widział rano — gdy jechał do kliniki, że dużo, dużo ludzi po ulicach się snuje Jakieś białe, słoneczne plamy kładły się po chodnikach, białe plamy, jasne i prawie wesołe. Nagle przyszła ta pogoda — poprzedzona seryą dni szarych — zasnutych mgłą wilgotną. I rankiem zabłysło białe — niegrzejące słońce. Ludzie wylegli ze swych nor. Nawet otwarli gdzieniegdzie okna. Tu i tam słychać było dziewicze gammy, a na jednym z balkonów rozkładała się wspaniała błękitna kołdra.

Tramwaje dzwoniły — automobil, w którym niedbale rozrzucono możliwą ilość futer, przemknął, dysząc, wyjąc, dudniąc tuż koło tramwaju, w którym jechał Iwanicki. Wszyscy pasażerowie spojrzeli przez szyby, a potem, niewiadomo dlaczego, wzruszyli ramionami i uśmiechnęli się ironicznie. Iwanicki tego nie uczynił, gdyż zawsze starał się zachować pewną godność.

Godność ta nie pozwalała mu się dziwić, ani ironizować otwarcie. Gdy jednak był sam, dziwił się. I oto dlaczego w jasno — elektrycznie oświetlonym gabinecie siedział przy biurku, z brwiami wysoko podniesionemi i wpatrzony w drzwi, prowadzące do poczekalni.

Cisza był zupełna za temi drzwiami, obitemi suknem i wyściełonemi dyskretnie Nikt nie chrząkał, nie kaszlał Zupełnie jak w pierwszy dzień Wielkiej nocy. Wtedy nikogo nic nie boli i zdaje się, że nikt nie umiera. Zwyczajni, codzienni pacyenci giną gdzieś w nadnaturalny sposób. O tem wiedział już Iwanicki...

Ale — dlaczego dziś właśnie?

Podszedł do półek, wyjął książkę. Zaczernił się tytuł »Thierische Parasiten«. Przewrócił kartki Całe narody, żyjące w głębinach człowieka, zaprezentowały swe wydłużone linie. Szukał.

Znalazł go i patrzył chwilę. — To będzie stanowczo wypadek tego urzędnika z Banku Zaliczkowego.

Iwanicki rzadko kiedy myli się w tych sprawach Ma już pewną wprawę w rozpoznawaniu, co tam we wnętrzu pacyenta żyje... mnoży się... ginie...

Tak, to będzie stanowczo *Botriocephalus!* — ! —

Rad ze siebie, schował książkę na półkę i podszedł ku oknu. Mieszkał dość wysoko, bo z trudnością znalazł odpowiedni w tej części miasta apartament. Widok z okien miał »bajeczny«. W szarawej mgle i koronie czarnej drzew tonęło miasto. Zdaleka majaczyły jakieś przestrzenie, dalej stoki góry jakby zamieszkanej — bo wśród bezlistnych drzew było coś niby trochę budynków i wieżyczek..

Lecz Iwanicki wiedział, że tam cisza martwa i ci, co tam mieszkają, nie sprawiają zamętu.

. . . .

Bo to był miejski cmentarz.

. . . .

Iwanickiego oczy nie zatrzymywały się nigdy na tej części miasta. Przemknęły się dalej, trochę na prawo, gdzie widać było plac sztucznej ślizgawki. Maleńkie laleczki zakreślały zwykle koła po białej tafli lodu. Maleńkie laleczki ludzkie, czarne w oddaleniu. Ładne to było i zajmujące w zimie. Obecnie pusto tam było, bo chłopcy. grający na placu w piłkę, gdzieś znikli. I tu była pustka zupełna...

Iwanicki zwrócił się do pokoju i zaciągnął na szyby ciężkie portyery. Poprawił na biurku blok na pisanie recept i podszedł do świeżo sprowadzonej maszyny influencyjnej. Chwilę patrzył na butelki Lejdejskie i pokręcił korbę. Często, gdy za wiele nędz ludzkiego ciała tłoczyło się u jego drzwi, skomląc i patrząc mu w oczy wyrazem przerażonych zwierząt. — Iwanicki przeklinał swój zawód — zdręczony jedną psalmodyą, którą znał na pamięć.

— Doktorze! taki jestem chory...

I to wieczyste pochylenie się z doskonale już przywartą maską zainteresowania.

— No... cóż Panu jest?

A myśl — taka przymusowa myśl, takie »Zwangsvorstellung'i« które biegną w bok — Skończ! skończ... jęczyć, zmoro jedna z drugą..

Dziś — brak tych »zmor« — i oto doktorowi jakoś niewyraźnie.

Bardzo nawet niewyraźnie.

Pocisnął dzwonek. — Czeka długą chwilę.

Cóż znowu, czy i ten osioł Jan znikł ze swego krzesła w przedpokoju?

Dzwoni raz drugi.

Szłap... szłap... idzie — ale idzie z kuchni. Otwiera drzwi. Staje pokorny, mały, śmieszny. Niema żadnej prezencyi — ale ma przekrzywioną głowę i dobre świadectwa. Iwanicki nasrożył się jednak i czuje potrzebę irytacyi.

— Dlaczego Jan nie w przedpokoju? Mógł kto dzwonić, a Jan nie będzie słyszał.

— Proszę wielmożnego Pana Doktora, ja ..

— Co, ja? Co ja? — Co tam Jan robi? Jakieś szklanki ustawia? — Proszę iść do przedpokoju.

Pokorna, drobna postać niknie za watowanymi drzwiami.

Szłap, szłap — słychać w stronę przedpokoju.

. . . .

Iwanicki siada znów przed biurkiem, wyciąga karnet i oblicza, ile ma jeszcze dziś »wizyt« do oddania. Potem chciałby się rozerwać. Może pójdzie do teatru, choć nie wie, co grają. Mniejsza z tem. Gwar, rozmowa, życie! Potem, może się trafi jaka możliwa twarzyczka...

. . . .

A gdyby nawet i niemożliwa, to mniejsza. Byle roześmiane usta, zdrowe tętno, głos nie chrypiący i nie ta wieczysta psalmodya skomlenia psów, które włóczą swój ból i w oczy o ratunek patrzą.

Słowem — życie! życie...

. . . .

Słowem — życie!

To jedno ma wartość dla tego rosłego i przystojnego mężczyzny o szeregu własnych zębów, i świeżej — prawie młodej cerze. Tyle mu »zaniku« życia przez ręce leci, że aż dysze ku temu, co siłą żywotną bije. I już tak było w nim zawsze. Odwracał się od tych, którzy byli słabi. Niósł im pomoc, bo taki był jego fach. Lecz wolał... Świat do mocnych należy! Z chwilą, gdy tężał trup — to już był bezużytek. Trup!... nic więcej. — Co najwyżej — nóż, okaz, wypadek. Wszystko. Nie zbudził mu się pod nożem nikt. Może... gdyby... Ale stanowczo nikt. A więc nicość. Po cóż się zastanawiać. Nawet lepiej tak. I surdut pięknie, fałdziście rozwiany. Krawat świeży i świeża cera. Trochę muzyki, światła i roześmiana twarzyczka...

Życie! życie we wszystkich przejawach — tylko życie.

Nic z białych nieuchwytnych widm.

Nic z widm łkających oddalonym dźwiękiem skrzypiec.

Skrzypiec płynących na falach wichrów jesiennych.

Wichrów jesiennych, które strącają liście z drżących akacyi.

Akacyi drżących, które na cichych mogiłach rosną.

Na cichych mogiłach, pod któremi leżą...

— Co! kto?

— Nic, nic...

Nicość...

Ach jaka!!! jaka!!!

. . . .

— Proszę Pana doktora, list?

— Daj! Nikogo niema w poczekalni?

— Nikogo!

— Dobrze, idź!

Iwanicki list otwiera. Krótkie słowa przeproszenia. Pacyentka dziś nie będzie w domu. Neurasteniczka, musi wyjść koniecznie. Czuje się trochę lepiej. Przytem — nus. luiro będzie czekać.

— Głupia! myśli Iwanicki — gdzie leci? czego się włóczy wieczorem? Wczoraj umierała, musiałem jeździć dwa razy — dziś gdzieś leci...

Trochę mu to psuje plany. Już przywykł iść codziennie o zmroku i tam zanurzając cieniuchną igłę w tubce aosykotylu, słuchać płaczący, kobiecy głos.

— Taka dziś jestem chora...

Wzrok jego błądzi wtedy po bardzo kobiecem urządzeniu sypialni — i zatrzymuje się na twarzy pacyentki prawie uśmiechniętej i bardzo do życia się garnącej. Niewielki tu »zanik« — a psalmodyę przełknąć można — bo oczy są wcale, wcale... i mają pewne ogniki.

— Głupia, gdzie leci? po co?

W pół do siódmej.

Stanowczo dziś nikt nie przyjdzie. Iwanicki dzwoni, lecz milczenie panuje dokoła. Jan może zasnął? Iwanicki wstaje z fotelu i idzie sam do kuchni. Słyszy jakieś szczękanie szkła i ciche szepty. Cóż u dyabła? Co się tam dzieje?

Unosi portyerę i staje na progu.

Kuchenka nie wielka — ot... kawalerska Tylko Jan stanowi usługę doktorską. Lecz Jan jest żonaty. Brzydka, chuda kobieta — równie pokorna i grzeczna jak Jan. Podobno trudni się praniem. No i tak we dwoje jakoś tam odziewają i żywią tę gromadkę dzieci.

Iwanicki czasem patrzy przez drzwi od ganku — jak w niedzielę Janowa siedzi z mężem w kuchni, jak coś tam do siebie szepcą — wzdychają — to znów czasem uśmiechają się słabo. Podobni są do siebie — i do tysiąca innych ludzi. których się spotyka rzędem na ławce tramwaju. Szare twarze, żadne twarze.

Żadne twarze a przecież całe światy!

. . . .

Iwanicki stoi na progu kuchni i patrzy, jak Jan z żoną pochyleni, coś na stole ustawiają — sortują.

Jakieś słoiki kolorowe. Czerwone, szafirowe, białe. Janowa jedno z tych szkieł do góry wznosi ku lampie. Na żółtą jej twarz padła purpurowa smuga.



— Ta zdaje się pęknięta.

— To pewnie zeszłego roku — mówi Jan — taki deszcz padał — mówiłem ci osłoń choć papierem.

Iwanicki przerywa im rozmowę.

— Co wy trzymacie w rękach?

Odwracają się szybko. Kobieta pierwsza przychodzi do słowa.

— Proszę wielmożnego Pana, to przecież lampki.

— Na co?

— Jakto? dla umarłych.

— Umarł wam kto?

— Ho! ho!.... tyle ludzi. Prawie wszyscy.

Iwanicki nie patrzy już prawie na nich.

— Janie! anglez — aksamitną kamizelkę.

Jan rzuca się ku drzwiom.

— Pan wielmożny wychodzi?

— Tak. Wrócę późno. Zresztą niewiem. Czekaj na mnie. Albo nie.... mam klucz....

Jan przybiera jeszcze pokorniejszą minę.

— Proszę łaski pana doktora, ja mam prośbę.

— No?

— A to — czy ja nie mógłbym wyjść na jaką godzinkę.

— Teraz? wieczorem? Jan zwaryował. Zresztą to nie niedziela. A potem, gdzie Jan chce iść.

— Proszę łaski Pana doktora....

Janowa, która zbierała lampki do koszyka — kończy.

— Na cmentarz.

— ?

— Bo to Zaduszki.

— A!... tak!... Zaduszki. Ale tu kto może dzwonić.

— Jest tabliczka — wtrąca nieśmiało Jan — a potem..... proszę łaski Pana, to taki dzień....

Iwanicki ramionami rusza.

— Jaki znowu dzień?

— No.... niby... tych, co spoczywają.

— No to niech spoczywają. Bóg z nimi. Czego tam łazić? Ani zdrowo, ani czasu niema.

Janowie zamieniają spojrzenia.

Coś tam w nich aż zanurtowało. Padły bo niby te słowa doktora, jak ciężki, dziwny ptak.

Przyleciał tak z czerni, co to niewiarą zieje, co to nicość ma w sobie, co to burzy ołtarzyk mały, domowy, strojny w papierowe róże, z lampką oliwną, ćmiącą u stóp krzyża.

Pod tym ołtarzykiem tacy Janowie mówią: »Wieczne odpoczywanie« i za tego i za tę — i chwilę jakąś łączą się z tem nieuchwytnem, a tak przeogromnem, co się nad nimi — drobiazgiem — gwiaździstą tęczą rozpina.

Aż tu — taki ptak pada i zaciężył im na duszach dziwnie.

Lecz oto kobieta pierwsza się otrząsła.

— Panie doktorze wielmożny, proszę pozwolić mężowi, on za to w niedzielę nie wyjdzie. A przecież niech i on pójdzie do *swoich.*

— Jakże do swoich? mówicie, że chcecie iść na cmentarz?

— Właśnie panie doktorze. Musimy pójść do *naszych.* Oni tam nas czekają. Tam wszyscy dziś mają koło siebie rodzinę, czy kogo, co im grób oświeci. Już największy nędzarz tego dnia swoich nie zostawi samych...

— Ależ moja Janowo...

Iwanicki chce coś jeszcze dodać, chce powiedzieć tym dwojgu — to właśnie, że tam nikt na nich nie czeka, że...

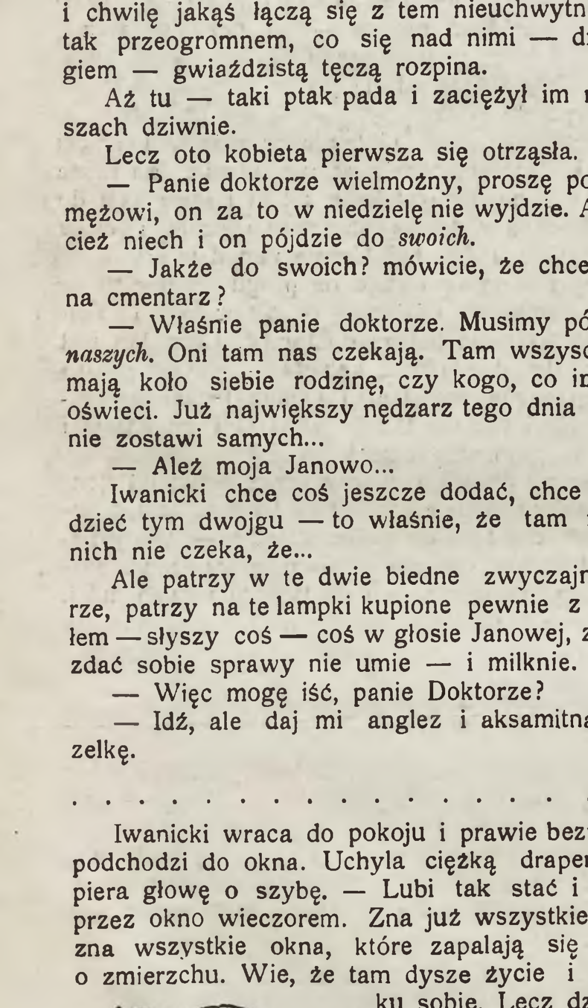
Ale patrzy w te dwie biedne zwyczajne twarze, patrzy na te lampki kupione pewnie z mozołem — słyszy coś — coś w głosie Janowej, z czego zdać sobie sprawy nie umie — i milknie.

— Więc mogę iść, panie Doktorze?

— Idź, ale daj mi anglez i aksamitną kamizelkę.

. . . .

Iwanicki wraca do pokoju i prawie bezwiednie podchodzi do okna. Uchyla ciężką draperyę, opiera głowę o szybę. — Lubi tak stać i patrzeć przez okno wieczorem. Zna już wszystkie domy, zna wszystkie okna, które zapalają się powoli o zmierzchu. Wie, że tam dysze życie i ciągnie ku sobie. Lecz dziś miasto prawie ciemne. Rzadko migoce okienne światło. Za to w oddali zapłonęła łuna. Skąd bije to morze świateł ścielących się





smugami, migocących na wyżynie, zaścielających cały stok góry, jakby kwieciem ognistem?

To rozgorzał cmentarz.

To ożyło miasto umarłych.

. . . .

O miasto święte i pełne tajemnic, które w welon ciszy spowijają wyniosłości grobowców.

Szelest skrzydeł ptasich nad tobą przelata i o akacye trąca.

Czasem Salve Regina przeleje się powolną falą i zaraz potem monotonny głos księdza »za duszę tego lub tej Zdrowaś Marya...«

Pokłonem bije korna prośba »za duszę« — wśród akacyi, bratków i kamiennych aniołów.

I dzwony się rozkołyszą. A nocą tylko liście lecą cicho i kładą się na groby — a czasem rozpadnie się nagle krzyż spróchniały na opuszczonej mogile. I cisza... cisza święta wymarłych miast, przez które przeszedł huragan i pieczęć milczenia położył.

I tylko te próchniejące krzyże...

Na zapadłych mogiłach...

Na mogiłach, o które nikt się nie troszczy.

Nikt! —

Kto wie — może to największy ból, jaki znosi dusza ludzka.

Ból zapomnienia mogiły!

. . . .

Iwanicki stoi przy szybie i patrzy, jak goreje w oddali miasto umarłych. — Tak — to Zaduszki. Palą się i płoną światła. Łuna czerwonawa rozciąga się nad górą. — Dziwne wrażenie. Dziwne. Coś tam w duszy zaczyna łaskotać. Goreje cała zbiorowa mara tych tam — których niema. — A taka płomienna, silna, aż bije w niebo tryumfem złotych fal. Jak ognisko ofiarne, — jak stos palny — rozświeca ciemności i wybucha z żywiołową mocą.

— Jestem! woła — jestem! w purpurze, w majestacie przychodzę w noc zaduszną, w noc jedną. Jestem wielką, niezwalczoną Jednością. My — wszyscy — krocie cząstek, my staliśmy się Jedną, płomienną Duszą. I oto w nas gore tylko równa jednaka szlachetność i piękno. Jesteśmy wszyscy... jestem! jestem! —

Wiedza nic nie mówi — myśli Iwanicki — nic solidnego — nic konkretnego.

— Jestem! Jestem! My wszyscy — a przecież Jedno...

Iwanicki odchodzi od okna — odziewa się i wychodzi na miasto.

. . . .

Gdy wyszedł od ostatniego pacjenta, fala ludzi płynących w stronę cmentarza, objęła go w swe ramiona. Idą zwartym szeregiem, spiesza ku gorejącemu miastu — a w rękach wieją snopy chryzantemów bielejących w ciemni. — Iwanicki chce minąć tę masę i wydostać się na ulicę prowadzącą do teatru Lecz przypomina sobie, iż w Zaduszny Dzień przedstawienia niema.

— Pójdę do Colosseum...

Lecz nie idzie. Wolno zawraca w ciemną ulicę. Jakiś nieswój — jakby zmęczony. Wstąpił do znajomych. Nie zastał. — Państwo na cmentarzu. — W cukierni pusto. — Wszyscy na cmentarzu! Już się nie buntuje, nie wzrusza ramionami. Ha! skoro im tam dobrze... niech idą...

I znów bezwiednie wpadł w czarne szeregi ludzi niosących chryzantemy, dźwigających lampki.

Spieszą się — ci najbiedniejsi, którzy pracując cały dzień, biegną teraz do *swoich...*

Aby ci *swoi* sami nie byli.

Przypomina się Iwanickiemu dzień wizyty szpitalnej, gdzie do łóżek chorych ściągają także bliscy, niosą kwiaty, łakocie — a spiesza się, a dbają, aby *swoi* sami nie byli.

I nie jest to śmieszne, owszem, miłe i konieczne.

Tak, lecz to są żywi...

Żywi? — ach! niektórzy tak mało. Takie już ostatnie tchnienie —, a przecież jeszcze oczy miłosiernie śledzą, czy się ktoś z blizkich pojawi, czy nachyli się ku sztywniejącym ustom, kwiat poda...

I mimowoli Iwanicki widzi chorych opuszczonych, tych, którzy cierpią sami — o których nikt się nie pyta — a w dzień wizyty nikt do ich łóżka nie spieszy.

I widzi te biedne, nędzne twarze na białem tle poduszek jak one szarzeją, kurczą się pod wpływem rozpaczliwego smutku, beznadziejnej rozpaczy... Bo nikt nie przyjdzie.

Nikt!

I często łza się zaszkli, usta zacięte boleśnie. Bo ze wszystkich nędz, najstraszniejsze ludzkie zapomnienie... Te pół trupy domagają się jeszcze kogoś, pół trupy... uścisku ręki, ciepłego słowa, kwiatka...

Pół trupy...

A może i...

I — tamci...

Tam — w ciszy, wśród akacyi — bratków — dzwonów i fali Salve Regina...

Ci, którzy gorieją dziś płomieniem roznieconym rękami kochających i tych, którzy pamiętają... To jakby szpital podziemny, a w nim łóżka — trumny.

I dzisiaj... dzień wizyt.

Więc niosą zewsząd kwiaty i światło.

Na łóżkach — trumnach czekają szkielety. Obracają oczodoły w stronę bramy cmentarnej. Czy idą bliscy? Czy idą ci, dla których się żyło? Czy idą ci, dla których poświęcało się tyle? — Czy niosą kwiaty? *Czy się wyczuje ciepło ich stóp?*

W tej zimnej, zimnej ziemi.

A pomiędzy grobami, koło których tulą się bliscy — ciemne, smutne mogiły.

To łóżka szpitalne, do których nikt nie przyszedł.

To ci, o których nie pamiętał nikt.

Iwanickiemu zimno, Iwanicki drży. Ogląda się dokoła. Bezwiednie idzie z tłumem w stronę cmentarza. Idzie z tymi, którzy niosą chryzantemy i lampki. On nie niesie nic. A przecież i on ma tam na cmentarzu kogoś... on ma tam *matkę!*

. . . .

Tak, ma tu w mieście grób matki. Ojciec pochowany dawno — gdy Iwanicki był jeszcze dzieckiem — na wiejskim cmentarzu. Ale matka — ta umarła, gdy Iwanicki miał około lat szesnastu Dobra była, cicha, łagodna. Dbała o niego, nie o siebie. Starała się oszczędzać na wszystkiem, aby syna wykształcić Pamięta jej twarz bladą, oczy błękitne i matowe, jasne włosy. Umarła, gdy był na wakacyach u stryja. Przyjechał na pogrzeb. Upały były. Trumnę wcześnie zamknięto. Nie zobaczył jej trupem. Pozostała mu w pamięci żywa. Był na jej grobie raz, drugi, trzeci. — Stryj postawił skromny pomniczek. Iwanicki wyjechał po maturze do Wiednia. Powrócił, został doktorem. I o grobie matki zapomniał.

A teraz idzie powoli z całą masą ludzi — przypomina sobie dokładnie skromny, piaskowy pomniczek, i myśli, iż tam pod nim jest także łóżko — trumna, a w niem...

Tak, lecz Wiedza...

Serce Iwanickiego zaczyna jakoś się ściskać. Coś tam szemrze dziwnie w tę noc Zaduszną. Serce niechce słuchać, co mówi Wiedza. Ono swoje w tej chwili szepce pacierze. — Blada twarz matki i jej błękitne oczy przed Iwanickim migają...

Sama tam jest... sama!

Jak ci chorzy w szpitalu, na których z takiem współczuciem patrzy.

Kto wie...

Kto wie...

Już nie wie nic. Czuje, iż podlega suggestyi tłumu. Nie sprzeciwia się. Niema siły. Pogrąża się w cichem uczuciu.

I on pójdzie na cmentarz, i on także. Nic nie zaniesie — ale choć stanie tam, przy tym małym, piaskowym pomniczku.

Wszedł w bramę i znalazł się wśród płonących lamp, wśród tłumu ludzi tłoczących zeschłe pod nogami liście.

Stanął na środku placyku i ogląda się dokoła. Promieniem biegną aleje i czarnemi wstążkami

przecinają płonącą przestrzeń. Jest ich dużo, tych dróg, cała gwiazda. Wszyscy wchodzący — pewnym krokiem idą do swoich mogił. Nie wahają się. Znają drogi. Biegną prawie, aby być prędzej. Nad grobami pochylone tłumy. Wszyscy osłaniają lampki, rozmieszczają kwiaty. Czerwone, błękitne światła rozjaśniają twarze i wydobywają je z ciemni. I słychać tylko pomruk cichych rozmów i szelest liści. Wysoko jaśnieje białem światłem lamp olbrzymi krzyż na pamiątkę tych, co nad wszystko kochali kraj... Iwanicki czuje jakieś wielkie, potężne wzruszenie. Łączy się cały z tym tłumem cisnącym się dokoła mogił. Nie jest on wziętym i mądrym lekarzem. On jest przeciętnym człowiekiem — prymitywnym, rozmodlonym w jakiejś serdeczności niezwykłej. Coś go dławi za gardło — dusi. I on radby pochylić się nad jakąś mogiłą. Domaga się w nim o to nieznana mu siła. I on chce iść do *swoich*.

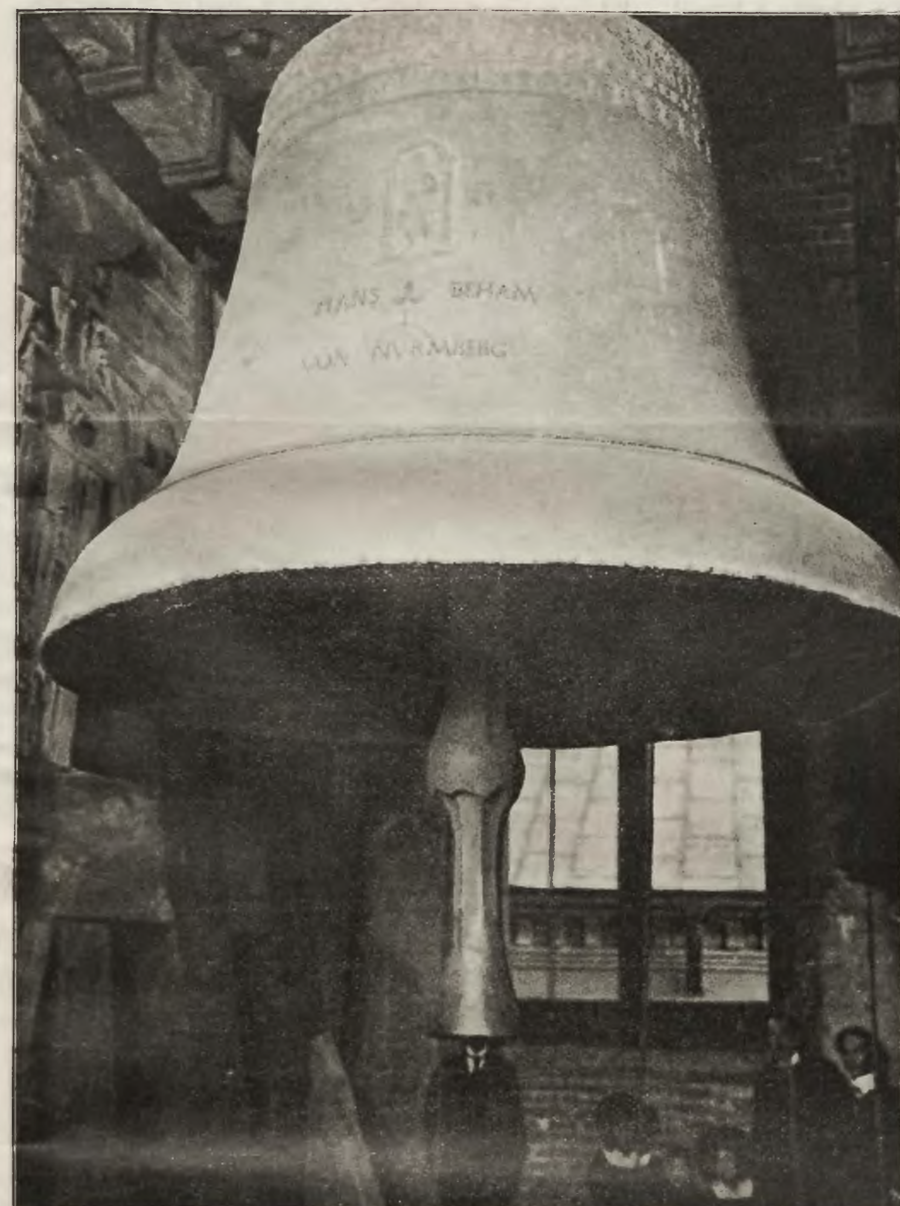
Ale ogląda się niepewny, zmieszany. Aleje biegną promieniami wśród morza świateł. Która droga wiedzie do mogiły jego matki? Nie wie. Nie wie nic.

Stoi bezradny — ręce mu opadły. —

Tak dawno tu nie był...
Nie pamięta...
Tak — jest, nie pamięta.

. . . . , ...

Jedną mogiłę miał tak blizko...
I drogi do niej zapomniał!



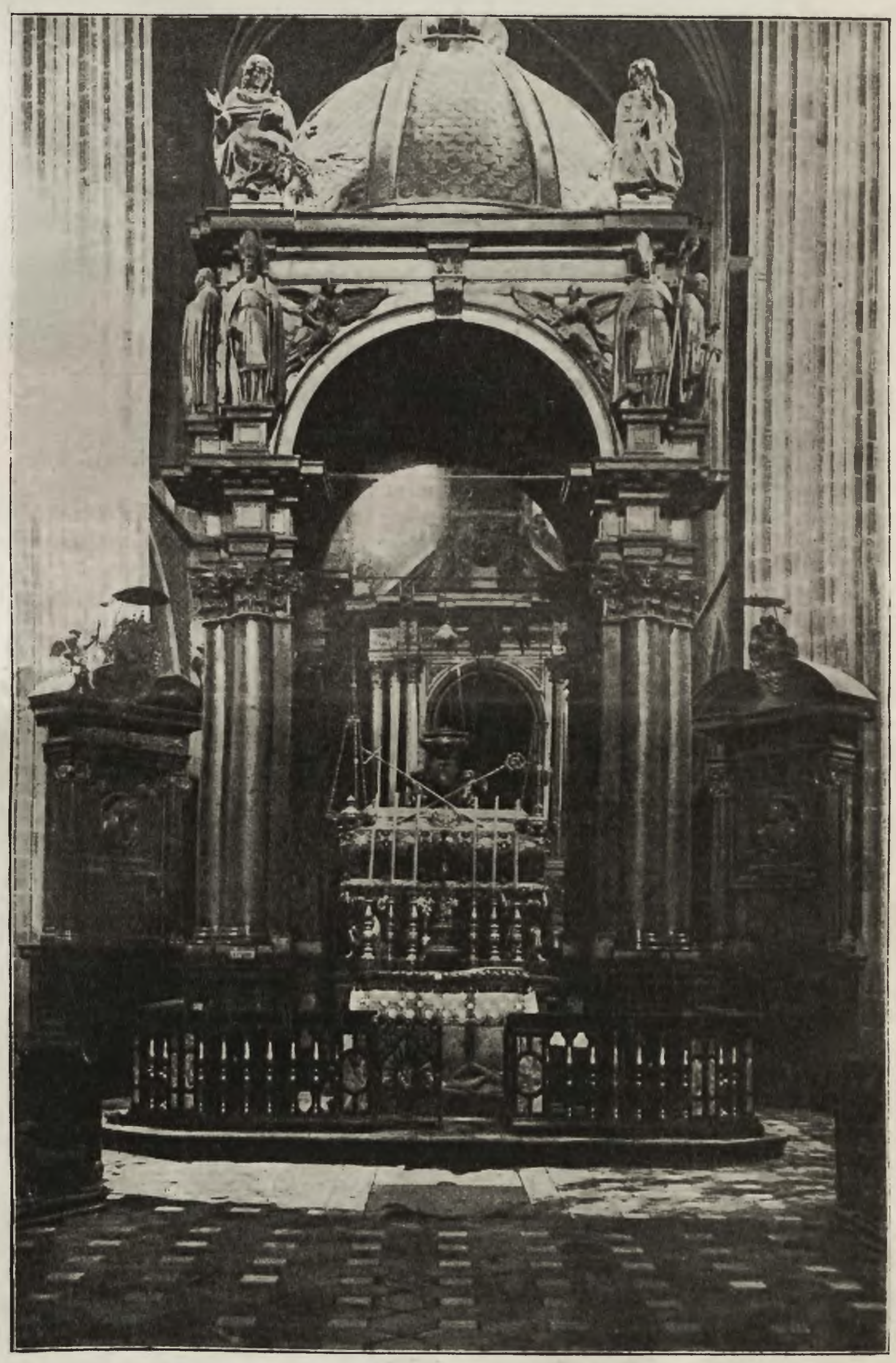
Fot. apar. red. „Now. Illustr“. W. Lis w Krakowie.
Kościół relikwij: Jedna z najdroższych pamiątek narodowych na Wawelu, sławny dzwon Zygmunta na wieży Zygmuntowskiej, największy z dzwonów kościelnych w Polsce.

Kościół relikwij.

Miejscem „święte świętych“ w katedrze wawelskiej nazwać trzebaby podziemia, w których się mieszczą grobowce królewskie. Ta krypta kryje bowiem w sobie najświętsze dla narodu prochy, śmiertelne szczątki tych, w których cała przeszłość nasza się chowa, których imienia blask nawet w przyszłość jaśnieje odległą, jakby na wiekuisty znak, że naród, który takie wydał ze siebie olbrzymy, nosi w sobie zaród nieśmiertelności i chociaż upadnie, zginąć nie może nigdy, bo jest w nim tchnienie Bolesławów i Kazimierzów wielkich. Grobowce królewskie, to jakby kościół relikwij, wielki, narodowej chwały i potęgi relikwiarz.

To też jak rok długi, ciągną doń codzień rzesze pielgrzymów ze wszystkich stron Polski, jakby w tych zimnych, szarych murach grobowców chciały zaczerpnąć sił i duszę skrzepić, wichurą nieszczęść złamaną. Bo z kamiennych sarkofagów i trumnisk żelaznych zdaje się tryskać Moc, Potęga, która wątpiącym każe ufać w przyszłość, a obojętnych wskrzesza i walczyć im każe dla promienniejszej przyszłości.

* * *



Fot. apar. red. „Now. Illustr. W. Lis w Krakowie.
Kościół relikwij: Pośrodku katedry królewskiej na Wawelu, oddzielająca główną nawę od presbiteryum, kaplica z ołtarzem św. Stanisława, na którym podtrzymywana przez aniołów spoczywa srebrna trumna z ciałem biskupa-męczennika, świętego Stanisława Szczepanowskiego.



Fot. apar. red. „Now. Illustr“. W. Lis w Krakowie.
Kościół relikwij: Główne wejście do katedry zamkowej na Wawelu. (W głębi po lewej u góry widać wiszące kości mamuta).

PLAN
Grobów Królewskich
w Katedrze na Wawelu



A Ołtarz.
B Książę Józef Poniatowski.
C Tadeusz Kościuszko.
D Michał Korybut Wiśniowiecki.
E Zygmunt Kazimierz, syn Władysława IV. i Cecylii Renaty.
F Cecylia Renata, żona Władysława IV
G Marya Kazimiera, żona Jana III Sobieskiego.
H Marya Anna, córka Władysława IV i Cecylii Renaty.
I Jan III Sobieski.
K Władysław IV.
L August II
Ł Jan Albert, kardynał.
M Zygmunt III.
N Aleksander Karol, syn Zygmunta III i Konstancyi Austryaczki.
O Anna Austryaczka, żona Zygmunta III
P Konstancya Austryaczka, żona Zygmunta III.
Q Anna Marya, córka Zygmunta III i Anny Austryaczki
R Jan Zygmunt, syn Jana Kazimierza i Maryi Ludwiki Gonzagi
S Anna Jagiellonka
T Marya Ludwika Gonzaga, żona Władysława IV, potem Jana Kazimierza.
U Zygmunt August.
W Jan Kazimierz.
X Barbara Zapolska, żona Zygm. I
Y Zygmunt I Stary.
Z Stefan Batory.

Wszystkie zamieszczone w niniejszym numerze zdjęcia z Wawelu i z Grobu zasłużonych na Skałce, wykonane zostały aparatem redakcyjnym przy specyalnem oświetleniu sztucznem przez naszego redakcyjnego fotografa W. Lisa. Własność zdjęć wszystkich, jakoteż i wszelkie prawa reprodukcyi zastrzeżone.

Redakcya.

Grobowce, wyrestaurowane staraniem prof. Łepkowskiego, składają się z trzech podłużnych komór, jak to widać na załączonym obok planie. Schodzi się do nich wejściem, znajdującem się w prawej nawie katedry, naprzeciw kaplicy z pomnikiem Sołtyka, a zamkniętem wielką miedzianą pokrywą. Kilkanaście schodów prowadzi do głębi.

Na wstępie tak zwana krypta św. Leonarda. Po lewej, we framudze muru, ołtarzyk, którego tło stanowi przepyszny witraż, sprawiony przez hr. Adamową Potocką według kartonu, który wykonał i ofiarował Matejko. Ośm filarów dzieli kryptę na trzy części, z tych dwie zajmują sarkofagi, trzecia środkowa służy za przejście. Po lewej wznosi się marmurowy sarkofag z dużym napisem, złotemi literami wyrytym: „Książę Józef Poniatowski“.

Dalej skromny, a jednak tak drogi sercu każdego Polaka sarkofag, wykuty z piaskowca, z emblematami powstania w roku 1794. To miejsce wiecznego spoczynku bohatera z pod Racławic, Tadeusza Kościuszki. Trzecia trumna chowa zwłoki żony Władysława IV Cecylii Renaty. Za nią spoczywa



Fot. aparatem redakcyjnym W. Lis w Krakowie.
Kościół relikwij: W grobach królewskich na Wawelu: w krypcie św. Leonarda grób naczelnika Tadeusza Kościuszki.



Fot. aparatem redakcyjnym W. Lis w Krakowie.
W kościele relikwij: W grobach królewskich na Wawelu, krypta św. Leonarda: na lewo poza niewidocznym tutaj (X) sarkofagiem Kościuszki, stoi w głębi trumna (1) królowej **Maryi Kazimiery Sobieskiej, żony Jana III.**; obok pośrodku (2) leży król Jan III. Sobieski; dalej na prawo w głębi (3) król Władysław IV.; bliżej na prawo (4) król Michał Korybut Wiśniowiecki.

Marya Kazimiera, słynna królowa Marysieńka, żona oswobodziciela Wiednia, Jana III. Maleńka trumienka obok, kryje zwłoki Maryi Anny, córki Władysława IV. Czarna, żelazna trumna, ozdobiona królewską koroną, z przodu nosząca ze złotych liter napis J. S., to sarkofag Jana III Sobieskiego. Obok niego spoczywa król Władysław IV. Po prawej stronie leży Zygmunt Kazimierz. syn Władysława IV. Dalej wspaniały. marmurowy sarkofag, z przepysznie rzeźbionym orłem; tu spoczywa Michał Korybut Wiśniowiecki.

Wchodzimy na prawo do drugiej części grobowców. W osobnej komorze po prawej, wielka żelazna trumna, zdobna rzeźbami. Na wieku mały obrazek, przedstawiający królewską postać Batorego. Trumnę tę zbadano w roku 1876. Zwłoki Batorego znaleziono doskonale zakonserwowane.

Po lewej trumna ze zwłokami Augusta II Mocnego. Dalej w metalowych trumnach Jan Albert, kardynał, syn Zygmunta III Anna Marya, córka Zygmunta, Zygmunt III, Konstancya Austryaczka i Anna Austryaczka, żona Zygmunta IV oraz jego syn Aleksander Karol.

Trzecia krypta. W środku wspaniały, z piaskowca rzeźbiony sarkofag, kryjący w sobie zwłoki nieszczęsnego Jana Kazimierza. Obok jego żona Marya Ludwika Gonzaga, dalej ich syn Jan Zygmunt; przy ścianie, ozdobionej obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, trumna ze zwłokami Anny Jagiellonki. Na lewo spoczywa Zygmunt August.

Wąski, sklepiony kurytarzyk prowadzi do osobnej komory, gdzie snem wiecznym ujęty, leży Zygmunt I Stary. Nad trumniskiem lampa, w kształcie korony Kazimierza Wielkiego.

Jakie wrażenie wywierają te grobowce, w których Wielkość narodu się chowa — pisać nie potrzeba i pisać trudno. To można tylko odczuć na miejscu, gdy wsparłszy się o sarkofag, myśl się zapuści w przeszłość.

* * *

W katedrze samej, na górze, mieszczą się grobowce Władysława Łokietka, Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły. Pod wielkim ołtarzem spoczywają zwłoki Jadwigi królowej, która w roku przyszłym ma być kanonizowaną. Pod nawą boczną po lewej stronie, znajduje się tak zwana krypta Mickiewicza, ze śmiertelnemi szczątkami największego geniusza polskiej poezyi, mocarza w krainie piękna. Zwłoki Mickiewicza przywieziono z Montmorency i 4 lipca 1890 złożono je uroczyście w katedrze, w której spoczywają królowie polscy.

Na Skałce.

Podziemia starożytnej świątyni na Skałce, świątyni, w której Bolesław Śmiały zabił biskupa Stanisława, przeznaczono na wieczny spoczynek dla tych, którzy wprawdzie na czołach nie nosili korony, ale którzy pracą i talentem wybili się z pośród narodu i stanęli na świeczniku narodowej chwały.



Fot. dla „Now. Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis w Krakowie.
Kościół relikwij: W grobach królewskich na Wawelu: w krypcie św. Leonarda, trumna ze zwłokami bohatera narodowego, księcia Józefa Poniatowskiego.

Są tam więc zwłoki Jana Długosza, sławnego historyka z XV wieku, poety Lucyana Siemieńskiego, Wincentego Pola, Józefa Ignacego Kraszewskiego, Teofila Lenartowicza, Adama Asnyka i Henryka Siemiradzkiego, po Matejce największego malarza polskiego.

Na illustracyach, dziś zamieszczonych, przedstawiony jest ogólny widok krypty, oraz grobowiec Adama Asnyka.

Na cmentarzu krakowskim.

Cmentarz na Rakowicach, zapełniający się rokrocznie w Zaduszki tysiącami Krakowian, kryje w swych głębiach również święte dla nas popioły. Tam spoczywają powstańcy z 1831, z 1848 i 1863 roku. Na ich grobach w Zaduszki zbierają się zawsze tysiące młodzieży, która śpiewem patryotycznych pieśni, czci pamięć bohaterów.

Najokazalej przedstawia się pomnik ofiar 1863 r. którego fotografię zamieszczamy obok. Skromniejszy jest pomnik weteranów z 1831, również obok załączony. Rzewne natomiast uczucie wzbudza miejsce, żywopłotem obrosłe, w któ-



Fot. aparatem redakcyjnym „Now Illustr“. W. Lis w Krakowie.
Kościół relikwij: W grobach królewskich na Wawelu: na lewo (1) trumna ze zwłokami Jana Alberta kardynała; dalej (2) leży król Zygmunt III.; w głębi w pośrodku (3) Aleksander Karol, syn Zygmunta III i Konstancyi Austryaczki; poza tą trumną jeszcze głębiej (X) grób Anny Austryaczki, żony Zygmunta III.; na prawo (4) trumna Konstancyi Austryaczki, żony Zygmunta III.; nieco bliżej (5) leży Anna Marya, córka Zygmunta III i Anny Austryaczki.

rego środku wznosi się prosty, drewniany krzyż, z napisem na prostej blasze. To grobowiec wspólny ofiar 1848 roku.

Zamieszczamy dziś tylko tych kilka mogił, tak drogich dla patryotycznej publiczności, wiele bowiem innych grobów na Rakowicach, podaliśmy przed rokiem z tej samej okazyi.

Noc Zaduszna na Wawelu.

Fantazya.

W głuchej pomroczy zasępił się świat. Melancholia jesieni, od pól, badylami zwiędłych traw pokrytych, płynąca, ukołysała całe miasto w Ciszę. Otuliła się Pokojem ziemia, jakby w oczekiwaniu tajemnego Cudu. Drżały gorączką bólu zżółkłe liście drzew, a wiatr wysnuwał z ich szelestów cichą pieśń omdlenia, pieśń bezbrzeżnej tęsknoty za życiem...

Na wzgórzu, nad Wisłą, drzemał stary Wawel, jak płaczek, nad przeszłością Narodu zawodzący żale. Sine mgły go ujęły w swe wilgne ramiona i zawisły nad nim pajęczą aureolą świętości, jakby zcałowując łzy z jego poszczerbionych murów, z których zniszczenie ziało i Znikomość.

A z pośród mgły tej wyłaniała się jakby jasność jakaś olbrzymia, jasność, co rozlewała się z wież i baszt zamkowych na całą Polskę. Unosiła się ona, jak latarnia na statku, w ciemnościach płynącym.

I był wtedy Wawel symbolem Polski całej. Wśród mgieł zdał się płynąć, niby statek, niosący w sobie losy całego Narodu, statek, co przewodnią jest gwiazdą dla dusz, w mrokach rozpaczy błądzących, bo światło niesie na szczycie swych masztów...

W noc Zaduszną, w noc tajemnic i czaru, wzgórze to, święte świętych w kościele narodowych pamiątek, skarbnica prochów świętych i relikwij, osnuło się majestatem i czekało na godzinę Cudu.

. . . .

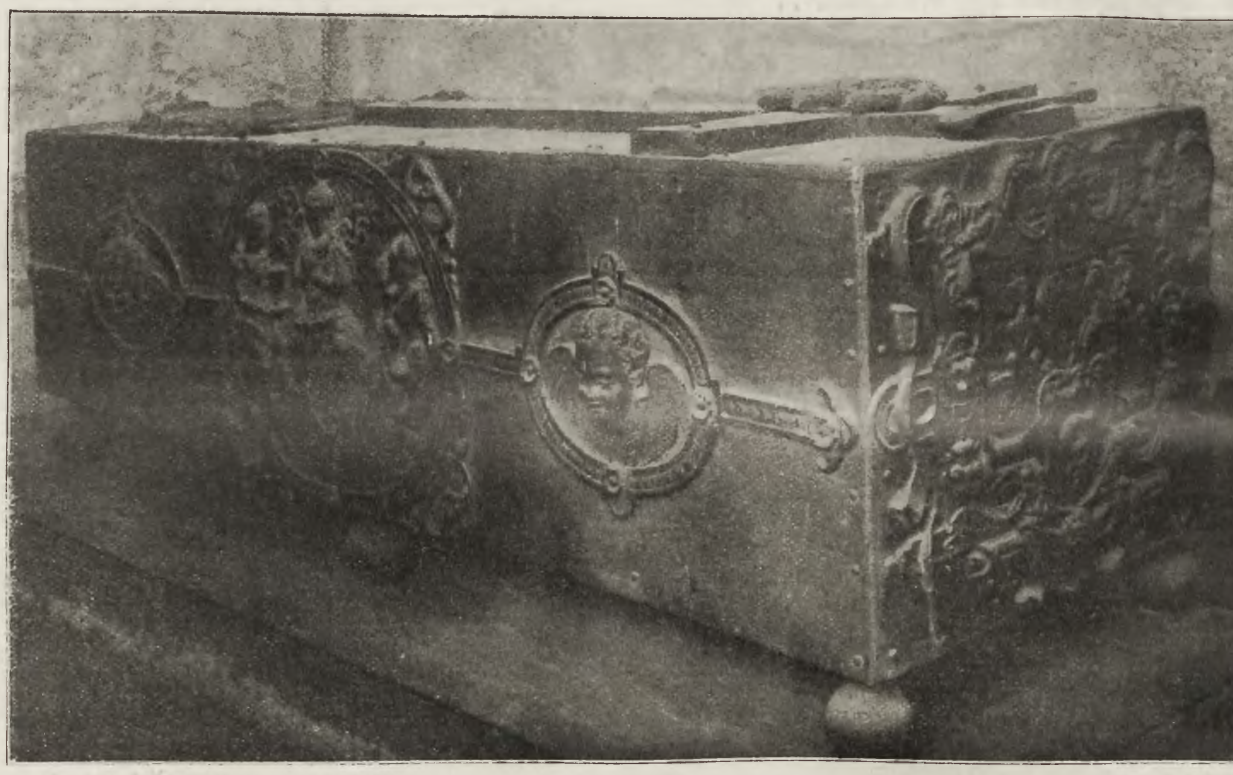
Zdało mi się, że byłem we wnętrzu wawelskiej katedry. Mrok się rozsnuł po gotyckich ścianach, po ołtarzach i pomnikach, dysząc majestatem Ciszy i oczekiwania. Jeno lampa wieczysta przed wielkim ołtarzem jaśniała migotliwym błyskiem, jak dusza, odurzona wonią snów czarownych, rozpryskująca wokół promienie swej łaski. Majestat królewski bił z tych ścian, zdobycznemi makatami pokrytych. — Tu Wielkość, w głazach pomników i trumnisk żeleźcach zakuta, biła wieczną potęgą Nieśmiertelności.

I dusza mi się ścisnęła bólem, bom uczuł, jako mały jestem, bom poznał, iżem jest dzieckiem karłów, iżem wyszedł z łona tych, co bohaterami być winni, a którzy, zapleśniawszy w niemocy, odrętwieli w śnie i stali się służalce śmierci, snu i martwoty niewolnicy. I teraz czułem dopiero straszliwe brzemię niewoli...

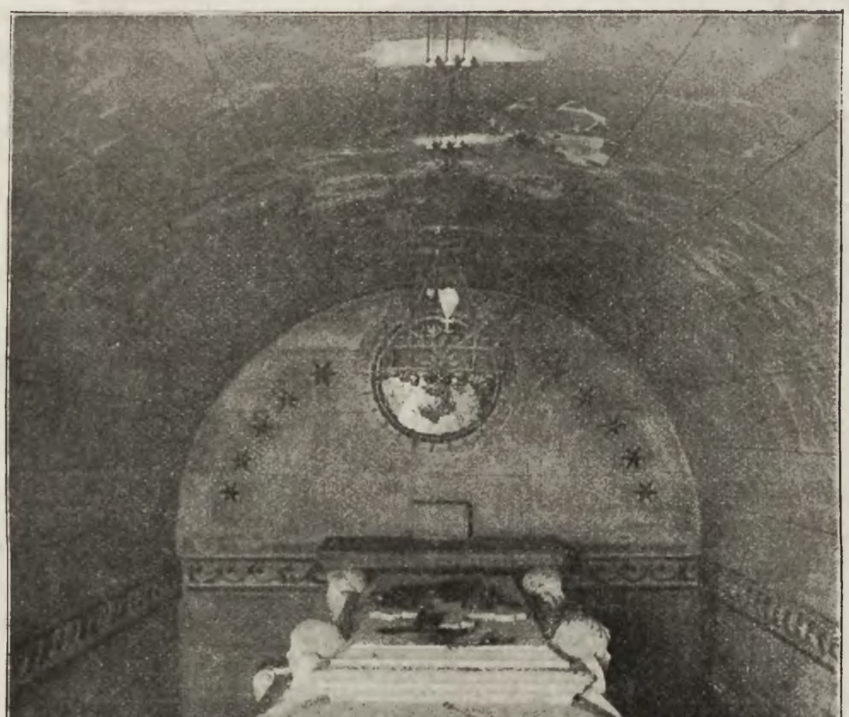
A kiedym się kajał i Mocy żebrał u pomników, w głazach szukał odradzającej siły żywota, po murach katedry przeszedł dreszcz. Jakaś gędźba tęskniąca rozdzwoniła się po świątnicy, zda się, że chóry aniołów niewidzialne grają. A muzyka rosła, potężniała, aż wybuchła archanielskiem: „Powstańcie“!

To ozwał się królewski dzwon — Zygmunt.

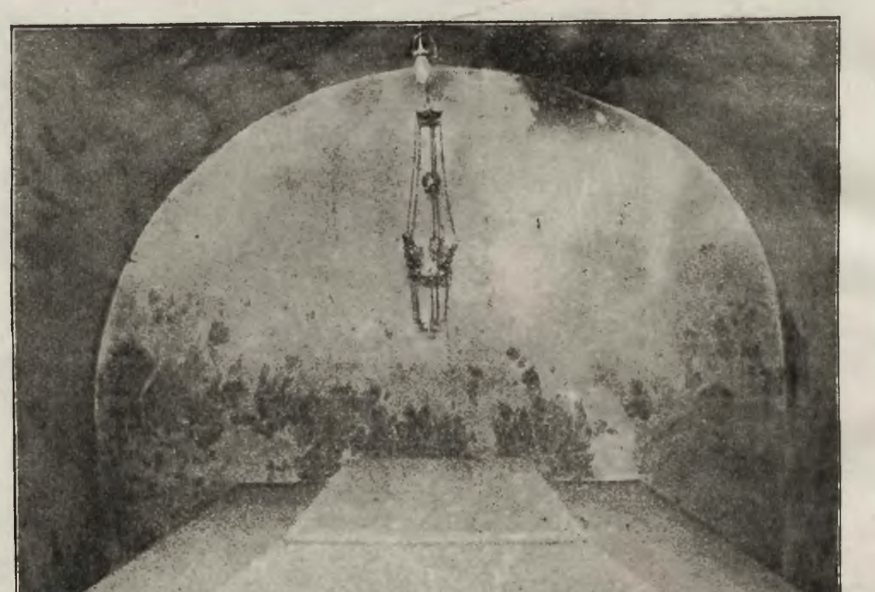
I w tej godzinie Cudu spłynęła na mnie łaska, a oczy moje patrzące stały się świadkami tajemnicy.



Fot. aparatem redakcyjnym „Now. Ill.“ W. Lis w Krakowie.
Kościół relikwij: W grobach królewskich na Wawelu trumna ze zwłokami Anny Jagiellonki.



Fot. apar. red. Now. Ill.“ W. Lis w Krakowie.
Kościół relikwij: W podziemiach katedry zamkowej na Wawelu, osobna krypta, (obok grobów królewskich), w której spoczywają prochy króla poetów polskich, wieszcza narodowego, Adama Mickiewicza.



Fot. apar. red. „Now Ill.“ W. Lis w Krakowie.
Kościół relikwij: W grobach królewskich na Wawelu: grób króla Zygmunta I. Starego; nad sarkofagiem lampa w kształcie korony Kazimierza Wielkiego, podarowana przez księcia Wł. Czartoryskiego.

Na wieży katedralnej biła północ.
I w tej chwili rozległ się w świątyni chrzęst zbroic, o złote wyszywania na sukniach dzwoniących. Z trzaskiem podniosła się miedziana przykrywa, zamykająca wnijście do grobów królewskich, a jasność buchnęła strugą światła z podziemia.



Fot. apar. redak. „Now. Illustr“. W. Lis w Krakowie.
Kościół relikwij: W grobach królewskich na Wawelu: grób króla Stefana Batorego.

A kiedy przebrzmiał głos dzwonu, ruch się wszczął w kościele całym. Strażnicy bram katedry, marmurową łuską zbroic pokryci, bohaterski Kmita, Boratyński rycerz, zeszli z piedestałów kamiennych, do których ich głazem Nieśmiertelność przykuła i z mieczem w ręku ruszyli w otwarte wnijście do królewskich grobów. I zaczęły zstępować z ołtarzy anioły i święte, biskup Stanisław powstał i w szatach złocistych, orszakiem białych poprzedzon aniołów, szedł do grobów, w których Wielkość króluje zamarła.

Dusza mi drżała lękiem i bojaźnią wielką, kiedym za nimi wchodził do grobowców królewskich, gdzie jasność ślepiła śmiertelne oczy moje.

A tam, przed ołtarzykiem, duchy się już orszakiem zebrały przemożnym. Blask zbroic i delij jaśniał, odbijając od szarzyzny murów, jak się odbija promień słońca w czystości kryształu.

Biskup Stanisław ukląkł przed ołtarzem i głosem, co trumnisk wieka rozwala i trzaska, zaintonował:

— „Resurgite“!

Skończył, a w tejże chwili ozwał się huk, jakby piorunów sto w te podziemia uderzyło, a grom się echem niósł po całej Polsce.

Zwaliło się marmurowe wieko pierwszej trumny, a z wnętrza podniósł się mąż, o twarzy ściągłej, a królewskiem czole, w mundurze jenerała opiętym. Podniósł się, mocarnym wzrokiem powiódł w koło, a zoczywszy modlące się rzesze, powstał i przyłączył się do nich.

To książę Józef, wielki legionista.

Za nim wstaje bohater, którego śmiertelne szczątki piaskowca zakryła opoka, skromny, jako on kmiotek piastowski, w białej szacie krakowskiego ludu, z szablicą, na której ryngraf z Matką Boską widnieje, przez pierś przewieszoną — Kościuszko...

I z łomotem zwaliło się wieko żelazne trzeciej trumny z koroną na grzbiecie, a z wnętrza żelaznej komory podniósł się ten, co ongiś postrachem był dla Wschodu, pogromca Turków a chrześcian-



Fot. aparatem redakcyjnym. „Now. Ill.“ W. Lis w Krakowie.
Kościół relikwij: W grobach królewskich na Wawelu, na lewo (1) trumna Ludwiki Maryi, żony Jana Kazimierza; obok na prawo (2) sarkofag Jana Kazimierza; w głębi poza nim widać trumnę (3) Zygmunta Augusta.

stwa obrońca. W delii królewskiej i koronie, milcząc, szedł ku ołtarzowi potężny władyka — Jan III.

Za nim powstaje król Michał Korybut, Władysław król IV i niewiasta, i także do modlących się łączy.

A gdy mieszkańcy wnijścia już byli powstali, Kmita, wartownik bram wawelskiej świątnicy, wstał i do drugiej krypty kieruje swe kroki, budzić bohaterów ze snu.

Stanął w środku, mocarną dłonią w pierś zbrojną uderzył, aż grzmot się rozległ po całem podziemiu. I oto z prawej wstaje z trumniska Batory, a z lewej August II, Zygmunt III, za nim mąż w kardynalskiej błyszczący purpurze, i niewiasty.

Kmita zaś dalej, do trzeciej krypty idzie. I tam tensam znak umarłym daje, a wraz pękają piaskowe ościerze sarkofagu, z którego nieszczęśliwy Jan Kazimierz król się podnosi. Z ostatniej komory wysuwa się Zygmunt I. z koroną na skroni; powstają z trumien niewiasty i pacholęta, i w tę zaduszną noc, kiedy ich niebo życiem darzy, idą do ołtarza, gdzie orszak się zebrał, któremu Nieśmiertelność na imię.

Stanęli w złocistym ordynku, Wielkość od nich bije jaśniąca, a stoją nieruchomo, jakby czekali jeszcze.

Słychać kroki...

Idą królowie z katedry, Jagiełło, Kazimierz, Jadwiga w aureoli świętości, a poza nimi mocarze w Królestwie Ducha — Mickiewicz, Długosz i wszyscy ci, co w grobach spoczęli na Skałce.

I teraz w podziemiach Wawelu była cała Polska. Teraz tętnił tutaj Duch narodu, zakuty w onych sarkofagach królewskich. Nad ołtarzem Biały Orzeł rozpostarł swe skrzydła, niby gołębica boża. Wyprężył się i dumny wielkością sypał z ócz pioruny ogni. A od tych ogni gorzało całe wnętrze.

„Salve Regina“ — intonuje biskup, a za nimi chór powtarza słowa modlitwy, aż grom się niesie po Polsce całej. Boć tu się zebrali narodu piastuny...

I każdy zbliża się do ołtarza, każdy się modli chwilę, i każdy kończy modlitwę:

„Wolność, im Panie, wróć, okowy zdejmij z trumnisk naszych, iżby się stała Tobie cześć, a ziemi ludom Pokój bratni!

Narodowi pogrążonemu w niemocnem śnie, wróć moc i siłę do życia, tchnij weń Nieśmiertelności tchnienie, iżby się ocknął i poznał, że spaniem było dotąd życie jego.

Spraw, niechaj Naród zrzuci z siebie pleśń, jaką się okrył w zmierzchu dziejów, że dzisiaj darmo poi się wielkością i na cmentarzu powiędłych wawrzynów, śni sen o przyszłości, nie myśląc, że przez ducha odrodzenie, przyszłość narodu wykuwa“.

Modły się wznoszą ku niebu, jak białe gołębie.

To Polska się modli...

Modlą się, a czoła ich sępią się w ponurej zadumie, bo widzą narodu niedolę i przyszłości nie widzą jaśniejszej.

Wtedy nad nimi rozpięła się szarfa ognista, z płomiennych uwita języków, a na niej gorejący napis:

„Nieśmiertelności znamię, nieśmiertelność daje.

„Ufajcie!“

Wtem zapiał kur. Zygmunt, królewski dzwon, jęknął żałośnie...

I naraz wszystkie widziadła pierzchły, ciemność zalegała grobowce..... Trzask zamykających się trumien i sarkofagów grzmotem się niesie po podziemiu, a Biały Orzeł niby gołębica biała, stula skrzydła i w mroczy grobowców się chowa.

Godzina cudu minęła.

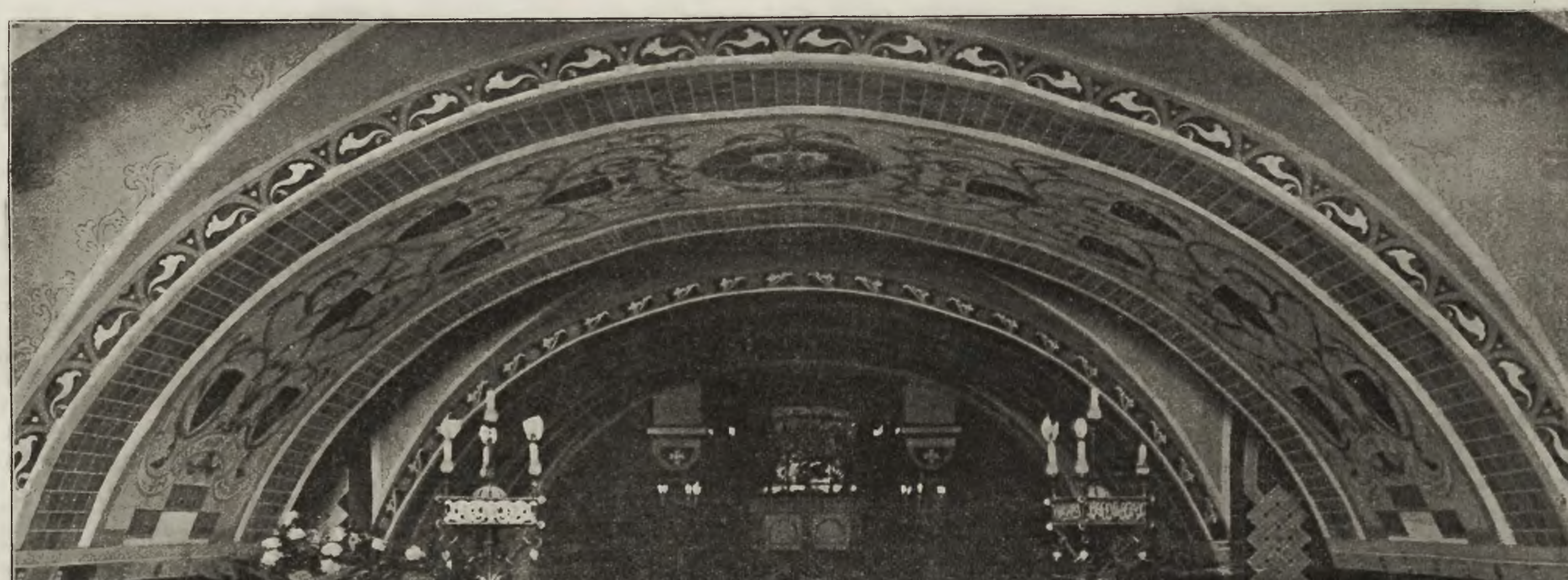
. . . .

Taka mi złota baśń się snuła, gdym w noc Zaduszną stał u bram wawelskiej świątyni.

Józef Rączkowski.



Fot. apar. red. „Now. Illust“. W. Lis w Krakowie.
Na Skałce: Grobowiec poety Adama Asnyka (El..y'ego) w krypcie „Zasłużonych“ pod kościołem na Skałce.



Fot. apar. red. dla „Now. Illustr.“ W. Lis w Krakowie.
Na Skałce: Grób Zasłużonych w krypcie pod kościołem OO Paulinów na Skałce w Krakowie, gdzie dotychczas mieszczą się trumny ze zwłokami Jana Długosza, Lucyana Siemieńskiego, Wincentego Pola, Józefa Ignacego Kraszewskiego (2), Teofila Lenartowicza, Adama Asnyka i Henryka Siemiradzkiego (1).

CONAN DOYLE.

PÓŹNA ZEMSTA

z angielskiego przełożył W. L.

ZE WSPOMNIEŃ WATSONA

5 Ciąg dalszy.

Były tam blade kobiety o pokornej postawie, rzeźkie. wesołe dzieci i poważni mężowie.

Młodość dziewczęcia i zupełne wyczerpanie jej ojca, wydobywało z piersi wielu okrzyki współczucia i podziwienia.

W towarzystwie ciekawych kroczyli ocaleni zwolna naprzód, aż doszli do wozu, który wyszczególniał się wielkością i wspaniałemi ozdobami. Zaprzężony był także w trzy pary pięknych, rosłych koni, inne zaś wozy miały po parze lub conajwyżej po dwie pary. Na wozie siedział mężczyzna lat może trzydziestu, z ogromną głową i o sprytnem spojrzeniu — był to dowódca narodu. Czytał coś z książki o szarej oprawie, a kiedy ujrzał zbliżających się, odłożył ją na bok, chcąc posłyszeć sprawozdania z wyprawy. Potem zwrócił się z namaszczeniem do obojga ocalonych.

— Jeśli mamy was zabrać ze sobą — powiedział tonem uroczystym — musicie wyznawać zawsze naszą wiarę. Nie zniosę wilków w mojej owczarni. Daleko lepiej, aby kości wasze bielały na pustyni, aniżelibyście do owiec parszywych podobni, zarazę rozszerzać tu mieli. Czy zgadzacie się na postawiony przezemnie warunek? Chcecie ruszać z nami?

— Pojadę z wami pod każdym warunkiem — odparł Ferrier z takim pośpiechem, że najstarsi nie mogli ukryć śmiechu. Lecz przywódca zachował minę poważną.

— Weź go ze sobą, bracie Stangersonie — rozkazał — daj mu jadła i napoju, dziewczynce także. Twojem zadaniem będzie kształcić ich w nowej nauce. Lecz dosyć zwłoki w podróży. Naprzód! Do Syonu!

— Naprzód! Do Syonu! — zawołali chórem mormoni, a krzyk rozlegał się dookoła po całej karawanie, idąc z ust do ust, aż wreszcie słychać go było z oddali niby pomruk tysiąca.

Strzelano z biczów, koła ogromnych furgonów poczęły się poruszać i wkrótce cała gromada jechała w dalszą podróż.

Najstarszy, który przyjął na swoje barki opiekę nad ocalonymi, zaprowadził ich do jednego z wozów, gdzie już na nich pożywienie czekało.

— Tutaj możecie pozostać — powiedział. — W paru dniach wypoczniecie sobie po odbytych trudach. Nie zapomnijcie jednak o tem, moi drodzy. że zaliczamy was także do wyznawców nowej wiary. Brigham Young tak powiedział, a przez niego mówił głos Józefa Smitha, który jest głosem prawdziwego Boga.

ROZDZIAŁ IX.

Kwiat z Utah.

Nie pora tu teraz opisywać mąk i uciśnienia, jakie znosić musieli mormoni, zanim przybyli. Od brzegów rzeki Missisipi zwrócili się ku zachodnim stronom górskiego łańcucha, składając dowody wytrwałości i zapobiegliwości, jedynej w swoim rodzaju. Z żarłocznemi zwierzętami i nieprzyjacielsko usposobionymi ludźmi dzikimi walczyć musieli, choroby, głód i pragnienie powstrzymywały ich w drodze, wszystkie elementy zda się uwzięły się na nich, mimo to jednak trudności te wszystkie ustąpiły wreszcie, choć niejednemu z najodważniejszych krew ścinała się nieraz w żyłach z obawy o życie. Gdy wreszcie ujrzeli w oddaleniu tuż przed swemi stopami dolinę Utah, promieniami słońca oblaną, skoro dowiedzieli się, z ust proroka, że to jest miejsce przeznaczenia, obiecana ziemia, która do nich należeć będzie po wieczne czasy, wtedy nie było nikogo w tej wielotysięcznej gromadzie, któryby wzniósłszy dłonie do modlitwy, nie padł na kolana, śląc słowa podziękowania za ocalenie.

Brigham Young okazał się niebawem równie zręcznym zarządcą i władcą nowej krainy, jak mądrym kierownikiem wyprawy. Rozkazał przedsiębrać pomiary, robić plany, według których miano przyszłe miasto zbudować. Każdemu przydzielono ziemi ornej bez względu na jego stan lub rangę. Robotnik znalazł upragnione zajęcie; niby pod tchnieniem różdżki czarodziejskiej powstawały ulice i place. Ścinano drzewa, odwadniano łąki, otaczano je parkanami i sadzono rośliny, tak, że już następnego lata kołysały się łany złotego zboża Wszystko udawało się dziwnie w tej nowej osadzie. W samym środku miasta zbudowano świątynię, przybierającą coraz bardziej na objętości. Od brzasku dnia, aż do późnego zmierzchu pracowały niezmordowanie młoty i piły, gdyż chodziło o wystawienie pomnika na cześć tego, który ochraniał ich dotąd stale od wszystkich nieszczęść.

John Ferrier i jego młoda towarzyszka, towarzyszyli mormonom aż do końca podróży. Młoda Lucy nie była narażoną na wielkie niebezpieczeństwa. Odbywała podróż w wozie najstarszego Stangersona, w którym prócz niej znajdowały się jeszcze trzy żony Mormona i syn jego, dwunastoletni chłopczyna. Jak dziecko zresztą, zapomniała z łatwością o smutku, jakim przejęta była po śmierci swej matki. Lecz i Ferrier przyszedł do siebie po odbytych trudach. Umiał zyskać szacunek wśród reszty gromady przez wrodzone zdolności dowódcy i niezmordowanego myśliwego. Gdy osiągnięto cel podróży, wyznaczono mu również kawał ornej, urodzajnej ziemi jak innym kolonistom. Prócz Brighama Younga, otrzymali czterej dowódcy Stangerson, Kemball, Johnston i Drebber większe posiadłości.

Na ziemi, przypadłej jemu w udziale, zbudował sobie Ferrier niewielki domek, który z biegiem lat zwiększał się ustawicznie, aż urósł do wcale pokaźnego pałacu.

Ferrier była to z gruntu praktyczna natura, zdolny, roztropny i wyrachowany we wszystkiem, co czynił. Żelazne zdrowie pozwalało mu pracować bez zmęczenia od rana do nocy na jego ziemi. Pilność niezwykła wydawała wkrótce obfite owoce, a jego dobytek zwiększał się z dniem każdym coraz bardziej.

Po upływie lat trzech miał więcej niż jego sąsiedzi, po sześciu latach był wcale zamożny, a po 12 było w mieście niewielu, którzy się mogli porównać z Ferrierem. Od wielkiego jeziora aż po góry Wahsalsch ceniono i poważano imię Ferriera.

Na jednym punkcie nie zgadzał się tylko z żądaniami swych braci. Nie mogły ani groźby ani prośby skłonić go do wybrania sobie towarzyszki na wzór innych współwyznawców i poruczenia całego gospodarstwa jakiejś skrzętnej i pracowitej kobiecie. Nie podawał żadnych powodów uporczywej odmowy, lecz zadawalniał się kategoryczną odmową, pozostając po dawnemu. Wielu posądzało go w tym celu o opieszałość w wypełnianiu przepisów religią nakazanych, inni przypuszczali. że postępuje tak ze skąpstwa i nie chce robić sobie niepotrzebnych kosztów. Byli i tacy, co opowiadali o dawnej historyi miłosnej Ferriera. oskarżając go o stosunek z jakąś młodą blondynką, którą zostawił na wschodzie, a której nie może zapomnieć. Jedno było pewne — Ferrier nie ożenił się dotąd. Pod każdym względem szedł za zwyczajami panującymi, uchodząc zawsze za bardzo wierzącą jednostkę w młodej osadzie.

Lucy Ferrier wzrastała w jego domu, pomagając mu w zajęciach. Dziewczyna wyglądała lepiej na ostrem górskiem powietrzu, wśród balsamicznej woni drzew szpilkowych, niż niejedna z jej rówieśniczek, na którą chuchano z obawy o jej życie.

Z biegiem lat stawała się jej postać silniejsza i smuklejsza, policzki rumieniły się, chód zyskiwał na elastyczności, powoli i niepostrzeżenie rozwinął się z pączka prześliczny kwiat. Niejeden z podróżnych mijając domostwo Ferriera, przypatrywał się z upodobaniem pełnemu wdzięku dziewczęciu, jak kroczyła wśród pól jej ojca, lub ujeżdżała ulubionego konia, kierując nim z łatwością i zręcznością prawdziwego dziecka zachodu.

W czasie. gdy John Ferrier należał do najbogatszych farmerów, mieszkających na zachodnich stokach spadzistej góry, była Lucy w pełni młodości; niepostrzeżenie wyszła z lat dziecięcych i nadszedł wreszcie ów dzień, w którym poczuć miała w sobie nowe potężniejsze uczucie. Zaszedł wypadek, ogromnie ważny na przyszłość nie tylko dla niej samej, ale również dla wielu innych ludzi.

Pewnego pogodnego czerwcowego poranku byli „Święci najmłodszego dnia" według swego zwyczaju zajęci niby pszczoły, które obrali sobie za wzór przy pracy. Na polach i we warsztatach słychać było hałas i widać pracę wielu ludzi. Na pełnych prochu ulicach panował ruch ogromny, szeregi ciężko obładowanych zwierząt jucznych posuwały się zwolna, ciągnąc ku zachodowi, gdyż febra w pogoni za złotem ogarnęła przybyszów. Wlokąc się ociężale w niemogącej się skończyć podróży — spotykano ogromne stada owiec i bydła rogatego, które opuściło dalekie pastwiska.

Na ulicy panował ścisk niemożliwy ludzi i zwierząt, przez środek zaś galopowała Lucy Ferrier, torując sobie drogę jako zręczna jeźdźczyni. Ojciec posłał ją z jakiemś poleceniem do miasta, pędziła też odważnie, jak to nieraz czyniła, poprzez gromady, zastępujące jej drogę. Niejeden spoglądał z podziwem na zuchwałą dziewczynę, nawet Indyanie, powracając z drzewem do domu, przystawali, ciekawie obserwując ruchy i niezwykłą piękność dziewczęcia.

Już była prawie przy pierwszych domach miasta, gdy ogromna gromada bydła, powracając ze stepu wraz z dziko spoglądającymi pastuchami, zamknęła jej niespodziewanie drogę. Niecierpliwie z powodu nowej przeszkody poskoczyła w pierwszą lepszą lukę, jaka się otworzyła tuż przed nią. Zaledwie uczyniła to jednak, gdy gromady bydła spiętrzyły się za nią, i ujrzała się wraz ze swym dzielnym rumakiem w samym środku dzikiego stada. Nie przestraszając się okropnością położenia, korzystała z najmniejszej sposobności, aby posunąć się naprzód i popędzała niezmordowanie swego rumaka, spodziewając wydostać się wkrótce z tej okropnej gromady. Wtem zetknął się młody, ognisty byczek z jej koniem, a rozjuszony jego oporem uderzył w brzuch konia rogami. Rumak poskoczył dziko, stanął na tylnych nogach, parsknął i szarpnął się tak gwałtownie, że Lucy musiała użyć całej swej zręczności, aby utrzymać się na koniu. Niebezpieczeństwo stawało się z każdą chwilą straszniejsze, gdyż za każdem pchnięciem zrywał się rumak, straszliwie pobudzony bólem. Gdyby Lucy upadła w tej chwili na ziemię, znalazłaby niewątpliwie okropną śmierć pod kopytami rozjuszonego stada. Proch, wznoszący się całym tumanem, groził uduszeniem, dostała zawrotu głowy i już puszczała osłabiona z rąk swych cugle, aby osunąć się na ziemię. Siły odmówiłyby posłuszeństwa na pewne, gdyby nie okrzyk strachu, jaki zabrzmiał w tej chwili o parę kroków od Lucy. Silna, żylasta ręka pochwyciła jej rumaka za cugle, torując drogę przez napierające stado, aż wydostali się wreszcie na wolniejsze miejsce i mogli się poruszać bez trudności.

— Spodziewam się — odparł uniżenie jej wybawca — że nie poniosła pani prócz obawy, żadnego zresztą szwanku.

Patrzała na jego męskie, opalone oblicze, wreszcie odpowiedziała:

— Bałam się okropnie, bo któżby pomyślał, że koń mój wpadnie w kolizyę z całą gromadą bydła.

— Chwała Bogu, że nie osunęła się pani z siodła — odpowiedział poważnie jej wybawca.

Był to młody mężczyzna, silnie zbudowany, o nieco zdziczałym wyglądzie zewnętrznym. Miał na sobie ubiór myśliwski, długą strzelbę przewiesił przez barki, pod sobą miał dzielnego kasztanka.

— Pani jest pewnie córką Johna Ferriera — odparł jej towarzysz — widziałem, jak pani wyjeżdżała stamtąd. Niech się go pani zapyta, czy nie zapomniał jeszcze o Jeffersonie Hofe z St. Louis. Jeśli on jest tym Ferrierem, o którym myślę, to mój ojciec był bardzo z nim zaprzyjaźniony.

— Czy nie zechce pan osobiście go odwiedzić? — zapytała uprzejmie?

Młodemu człowiekowi spodobała się propozycya Lucy, oczy jego błyszczały radością.

— Tak też postąpię — odpowiedział — byłem wprawdzie z przyjaciółmi dwa miesiące w górach, nie jestem zatem bardzo przygotowany na złożenie komuś wizyty, lecz może pan Ferrier łaskawszem wejrzy na mnie okiem.

— Mój ojciec wiele panu winien — odpowiedziała, a i ja również Bardzo mnie kocha, a gdyby mnie było stado na śmierć stratowało, nie odzyskałby nigdy wesołości.

— Ja także — zapewniał myśliwy.

— Pan? Czy panu zależy na tem cośkolwiek. — Nie jesteś pan nawet naszym dobrym znajomym.

Twarz młodego jeźdźca zachmurzyła się do tego stopnia, że Lucy musiała roześmiać się serdecznie.

— Nie! Nie tak źle myślałam. Jesteś pan naturalnie naszym najlepszym przyjacielem. Niech nas pan wkrótce odwiedzi. Lecz muszę odjechać już, bo nigdyby mi nie pozwolił ojciec załatwiać interesów w mieście. Do widzenia zatem!

— Do widzenia — zawołał, schylając się nad jej drobną rączką i zdejmując przytem szeroki kapelusz.

Dała z lekka bodźca swemu rumakowi i pomknęła jak strzała ulicą, zostawiając za sobą tumany kurzu

Młody Jefferson Hope jechał zwolna i milcząco ze swymi przyjaciółmi. Byli w górach Nevada, w poszukiwaniu za srebrem, teraz przybyli z powrotem w nadziei pozyskania tu kapitału, potrze-

bnego do wyzyskania bogatych źródeł, jakie na wyprawie odkryli. Nad przedsięwzięciem pilnie pracował, póki wypadek dzisiejszy nie sprowadził jego myśli na nowe tory. Widok dziewczęcia, wolnego i świeżego jak powiew z tych gór, pobudziło jego serce wrażliwe aż do głębi. Skoro zniknęła z jego oczu, poznał, że w życiu jego jest to punkt zwrotny, że ani miny srebra, ani nic innego, nie jest w stanie poruszyć go głębiej od nowego uczucia, które opanowało go właśnie. Miłości, która nagle zbudziła się w jego sercu, nie można było porównać do zmiennej miłostki studenta, była to silna, nieokiełzana namiętność mężczyzny, pysznego i silnego charakteru. Wszystko, co czynił dotąd, uwieńczone było pomyślnym skutkiem, więc ślubował w głębi serca, pokusić się o najwyższe dobro, jakie mógł tu na ziemi osiągnąć.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem, odwiedził Johna Ferriera i był odtąd już mile widzianym gościem w jego domostwie. Stary farmer zajmował się przez lat 20 wyłącznie tylko pracą, mało troszcząc się o otaczający go świat. Przez Jeffersona Hope dowiedział się zatem, co się dzieje na świecie, a wszystko, co opowiadał, przyciągało zarówno ojca, jak syna. Młody człowiek poszedł jako pionier do Kalifornii i umiał cuda opowiadać, jak bogactwa wyzyskiwano i tracono jednego dnia, w czasie dzikiego pragnienia grosza. Był także myśliwym, kopaczem srebra i gospodarzem zagrodowym. Gdzie chodziło o jakąś awanturniczą wyprawę, tam można było znaleść Jeffersona Hope. Stary Ferrier, który go wkrótce pokochał jak syna, korzystał z najmniejszej sposobności, aby chwalić go i podnosić w oczach sąsiadów. Lucy milczała wtedy zawzięcie, ale jej rozpalone policzki i jasne, szczęśliwe oczęta, świadczyły aż nadto wymownie, że do jej serduszka zakradła się miłość. Dzielny ojciec nie spostrzegł pewnie tej zmiany, lecz nie pozostało to tajemnicą dla Jeffersona, który pragnął jej serduszko pozyskać.

Pewnego wieczora stała Lucy na progu rodzicielskiego domu i widziała, jak Jefferson jechał na koniu ulicą i zatrzymał się wreszcie przy kracie. Gdy zbiegła po schodach, chcąc go pozdrowić, uwiązał szybko konia przy parkanie i szedł właśnie na przeciw niej z otwartemi rękoma.

— Muszę Lucy odjechać — powiedział boleśnie, biorąc jej rękę i spoglądając czule w jej oczy. Nie chcę cię prosić, abyś poszła już teraz ze mną, lecz czy zechcesz to uczynić, gdy powrócę?

— A kiedyż to nastąpi? — zapytała rumieniąc się z radości?

— Za parę miesięcy. Wtedy powrócę i poproszę o twoją rękę.

— Cóż powie na to ojciec?

— Da pozwolenie, jeśli nam się ze srebrem poszczęści. Lecz tego nie boję się wcale.

— No — skoro jednego jesteście zdania, ty i mój ojciec — nie mogę się wam sprzeciwiać — odparła, kryjąc płonące policzki na jego męskiej piersi.

— Chwała Bogu! — zawołał uradowany i złożył na jej ustach gorący pocałunek — wszystko układa się jaknajlepiej. Bądź zdrowa Lucy moja, nie chcę dłużej zwlekać z odjazdem, gdyż serce pękłoby mi przy rozstaniu. Przyjaciele czekają już na mnie w rozpadlinie górskiej. Za dwa miesiące zobaczymy się znowu. Do widzenia!

Wyrwał się z jej objęć, wskoczył na konia i pognał naprzód z szybkością strzały. Ani jednem spojrzeniem nie uszczęśliwił pozostałej, jakgdyby bał się, że braknie mu siły, jeśli oglądnie się za szczęściem, które właśnie musiał porzucić. Ona zaś stała przy kracie, spoglądając za nim ze łzami, a gdy znikł jej wreszcie w tumanie kurzu, poszła z powrotem do domu. Szczęśliwszej dziewczyny nie było w całej dolinie.

ROZDZIAŁ X.

John Ferrier rozmawia z prorokiem.

Trzy tygodnie minęły od czasu, jak Jeffersohn opuścił z towarzyszami dolinę. Na myśl o rychłym jego powrocie i o rozstaniu z ukochaną córką, było nieraz Johnowi Ferrierowi aż nazbyt ciężko na sercu. Lecz gdy popatrzał w jej oczy, promieniejące szczęściem, musiał o własnym bólu zapomnieć. W głębi swej duszy postanowił sobie nie oddać dziecięcia najdroższego mormonom za żonę, gdyż takie małżeństwo uważał za obrazę i za hańbę dla biednej Lucy. Choć na całą naukę mormonów zgadzał się zupełnie, to przy tym jednym punkcie upierał się stale. Strzegł się jednak zdradzić się kiedykolwiek ze swem przekonaniem, odstępującem tak strasznie od ogólnej wiary mormońskiej, gdyż w kraju świętych nie bardzo bezpieczną było wówczas rzeczą, innego Boga wyznawać.

Nawet najpobożniejsi ważyli się z ogromną ostrożnością rozmawiać o świętych sprawach, z obawy, aby którego z ich słów nie tłómaczono sobie inaczej, co sprowadzało niezwłocznie dochodzenia karne. Dawne ofiary prześladowców stały się prześladowcami i uprawiały rzemiosło sędziowskie w sposób najbezwzględniejszy. Ani inkwizy-



....ujrzała się wraz ze swym dzielnym rumakiem w samym środku dzikiego stada.

torowie hiszpańscy, ani tajne sądy średniowieczne lub związki włoskie, nie postępowały z taką gwałtownością, jaka cechowała Utah, napełniając mieszkańców grozą i ustawiczną trwogą o swe życie.

Lecz tajemnica, jaką osłaniały się sądy, dodawała im tylko znaczenia i powagi.

Sądy te były, zda się, wszystkowiedzące i wszechpotężne, a jednak nie można było tych sędziów zobaczyć lub posłyszeć. Członek, który nie poddawał się przepisom wspólnego kościoła, znikał bez śladu, a nikt nie mógł objaśnić ni wskazać, jaki los spotkał nieszczęsnego biedaka. W domu czekały dziatki na ojca, ale on nigdy nie wracał, aby powiedzieć wiarogodnemi usty, jak strasznie karzą tajne sądy mormonów. Za niewczesne słowo, czyn spełniony bez namysłu może, czekały śmierć i zniszczenie, a nikt nie mógł dojrzeć karzącej ręki sprawiedliwości.

Z początku czuli się zagrożeni ci tylko, co wyznawali początkowo ich wiarę, lecz później pragnęli się z ich przewagi wyzwolić, ale później zmieniły się rzeczy. Ażeby utrzymać wielożeństwo, potrzeba było licznego potomstwa rodzaju żeńskiego, a przyrost kobiet zaczynał się zmniejszać.

Chodziły wtedy ciekawe pogłoski, że pomordowano okrutnie przybyszów podczas podróży w okolicach, gdzie Indyan wcale nie było. W tym samym czasie spotykano w haremach najstarszych obce twarze kobiet, które ciągle płakały.

Spóźnieni podróżni w górach, opowiadali o bandach uzbrojonych i zamaskowanych postaciach, które bez najmniejszego szelestu i zdradliwie jak lisy przesuwały się zwolna, niknąc w oddali. Tajemnicze wieści opowiadano sobie coraz częściej i pewniej, aż wreszcie stały się one rzeczą jak najbardziej rzeczywistą w oczach ludu. Jeszcze po dzień dzisiejszy można w oddalonych farmach posłyszeć o strasznych, zgrozą przejmujących czynach band danitijskich, w ustach ludu duszącym aniołem przezwanych.

Im więcej wiedziano o strasznych czynach tych band tajemniczych, tem większe stawało się przerażenie wśród ludu. Nie wiedziano, kto do band należał, które pod płaszczykiem religii spełniały morderstwa, w mgłę tajemniczości otulone. Najlepszemu przyjacielowi nie wierzono, gdy miał tajemną rozmowę z prorokiem, gdyż mógł łatwo należeć do bandy, spełniającej nocą najstraszniejsze czyny. Tak podejrzewał sąsiad sąsiada, i nikt nie śmiał wspomnieć o czynach, które leżały mu tak bardzo na sercu.

Pewnego poranku wybierał się właśnie John Ferrier w zwykłą drogę na pole pszeniczne, gdy nagle ujrzał u kraty silnego, jasnego blondyna, średniego wieku.

Przestraszył się ogromnie, gdy go ujrzał przed sobą, gdyż nie był to nikt inny, jak Brigham Young. Pełen najgorszych przeczuć, gdyż wiedział dobrze, co znaczy wizyta Brighama, pospieszył na przywitanie dostojnego gościa. Brigham Young przyjął go mimo serdecznego przyjęcia nadzwyczaj zimno i szedł za nim milcząco do pokoju mieszkalnego.

— Bracie Ferrierze — zawołał Brigham szorstkim głosem, zajmując wskazane miejsce i obrzucając starego farmera z pod krzaczastych brwi spojrzeniem, pełnem nienawiści — prawdziwie wierzący zachowują przyjaźń. Gdy śmierć zaglądała ci w oczy na pustyni, wzięliśmy cię ze sobą, dali jadła i napoju i poprowadzili do obiecanego raju. Czy nie wyznaczyliśmy ci pięknej ziemi ornej, czy nie zażywałeś naszej opieki? Mów, czy tak nie było?

— Tak! tak — odpowiedział Ferrier.

— W zamian za nasze dobrodziejstwa, postawiliśmy jeden tylko warunek, abyś przyjął prawdziwą wiarę i poddał się naszym zwyczajom i prawom. Przysiągłeś nam to uroczyście, ale jeśli jesteśmy dobrze poinformowani, nie spełniasz swych obowiązków.

— W czem zbłądziłem? — zawołał Ferrier. — Czyż nie oddaję podatków do wspólnej kasy? Czy nie uczęszczam na zgromadzenia w świątyni? Czyż nie....

— Gdzie są twe żony — zapytał Young, oglądając się dokoła. — Zawołaj je zaraz, chciałbym je pozdrowić.

— Prawda — odpowiedział farmer — nie żeniłem się, lecz mamy małą liczbę kobiet, a są młodsi przecież odemnie i oni roszczą więc sobie słuszniejsze prawo. Sam zresztą nie żyję, gdyż gospodarstwo prowadzi mi moja córka.

— Właśnie twa córka jest powodem mego przybycia i o niej chciałbym pomówić — odpowiedział przywódca mormonów. — Jest ona pięknym kwiatem, a wielu zacnych młodzieńców, mających u mnie znaczenie, pragnie ją pojąć za żonę.

John Ferrier poczuł w sercu ostry, przejmujący ból.

— Powiadają o niej — zawołał Young — a czemu ja nie chcę wierzyć — że związała się już pono z niewiernym! To pewnie bajki! Bo jakżeż brzmi prawo trzynaste w przepisach świętego Józefa Smitha? — „Dziewica, wyznająca wiarę prawdziwą, może wstąpić w związki małżeńskie jedynie z wybrańcem — mormonem. Jeśli poślubi niewiernego, staje się winną ciężkiej zbrodni. Toż to niemożliwą rzeczą, abyś ty, jako zwolennik naszej świętej nauki, pozwolił twej córce przekroczyć przykazanie. (C. d. n.)

Zmiany w naczelnym zarządzie armii.

Miesiąc październik bieżącego roku, zapisał się w dziejach Austro-Węgier kilku wypadkami do-



Zmiany w naczelnym zarządzie armii: Generał zbrojmistrz Henryk Pitreich, który złożył tekę wspólnego ministra wojny w Austro-Węgrzech.

niosłej wagi, zwłaszcza zaś zmianą osób na stanowisku ministra spraw zagranicznych, oraz zmianami w naczelnym zarządzie wojskowym.

Na drugi dzień po ustąpieniu hr. Gołuchowskiego przyniosły depesze wiadomość, że i dotychczasowy minister wojny gen. Pittreich zgłosił swą dymisyę, którą cesarz przyjął. Przyczyny ustąpienia Pittreicha komentowano w rozmaity sposób, zdaje się jednak, że miały one tęsamą podstawę, co i przyczyny upadku hr. Gołuchowskiego, a tą podstawą było stanowisko Węgier, wysoce dla obu ministrów nieżyczliwe. Przynajmniej pewnem jest, że innych przyczyn, któreby spowodowały upadek ministra wojny, nie było.

Generał Pittreich był jednym z tych wojskowych dygnitarzy, do którego miały przystęp idee postępowe. Był on jako minister wojny jednym z najbardziej postępowych, co szczególnie dawało się widzieć, gdy się porównało dawną, na zastarzałych tradycyach opartą gospodarkę byłego ministra wojny Krieghammera, po którym gen. Pittreich objął tekę ministeryalną — z rządami Pittreicha. To było przyczyną, że minister Pittreich cieszył się sympatyą i zaufaniem Rady państwa, co mu umożliwiało pracę około podniesienia armii do wyżyn współczesnych wymagań.

Pracę tę podniósł z uznaniem monarcha w piśmie, wystosowanem do niego po ustąpieniu. Przy tej sposobności minister Pittreich, którego portret zamieszczamy obok, otrzymał wielki krzyż orderu św. Szczepana.

Następcą Pittreicha zamianowany został dotychczasowy minister obrony krajowej, generał zbrojmistrz Schoenaich, którego portret również obok zamieszczamy Jeżeli Węgrzy dążyli do zmiany ministra wojny, to tym razem zawiedli się. Nominacya Schoenaicha jest bowiem nowym dowodem, że cesarz bynajmniej nie ustępuje żądaniom Węgrów. Wiadomo powszechnie, że Schoenaich, bezpośrednio po mianowaniu go ministrem obrony krajowej, ogłosił w dziennikach interview, w którym bardzo stanowczo oświadczył się przeciw komendzie węgierskiej. Wprawdzie ze słów, wypowiedzianych na innem stanowisku i w innych czasach, nie można wyciągać ostatecznych konsekwencyj, niemniej jednak fakt to bardzo dla nowego ministra wojny znamienny. Minister Schoenaich zresztą po nominacyi ostatniej wyraził się w sposób mniej stanowczy, ale równie silny, do jednego z dziennikarzy węgierskich, że jest zdecydowanym zwolennikiem wspólności armii i wszystkich instytucyj, które wypływają z zasady wspólności. Oświadczył że jego najgorętszem życzeniem będzie pozostawać w zgodzie ze wszystkimi ciałami ustawodawczymi, z którymi ma się stykać, że postara się o załatwienie ostateczne sprawy powiększenia pensyi wdów i sierót po oficerach, oraz sprawy wojskowej procedury karnej.

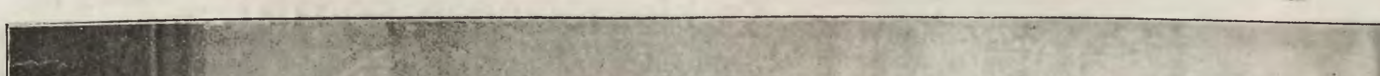
Franciszek Schoenaich urodził się w Wiedniu w roku 1844. W roku 1862 ukończył terezyańską akademię wojskową i został podporucznikiem w 12 batalionie strzelców. W dwa lata potem odbył kampanię szlezwicko-holsztyńską. a w roku 1866 walczył już jako porucznik w Czechach. W rok potem powołano go do generalnego sztabu, a w roku 1878 za zasługi przy mobilizacyi z powodu okupacyi Bośni i Hercegowiny, otrzymał wojskowy krzyż zasługi. W roku 1884 został szefem generalnego sztabu 5 korpusu, a w trzy lata potem, już jako pułkownika powołał go arcyksiążę Albrecht do służby przy swej osobie. Na tem stanowisku miał sposobność przyjrzeć się zblizka kierownictwu armii. W roku 1899 został szefem sekcyi w ministerstwie wojny i zastępcą ministra wojny Krieghammera. Po ustąpieniu Welsersheimba w marcu zeszłego roku, powołał go cesarz do gabinetu jako ministra obrony krajowej, a obecnie poruczył mu tekę ministra wojny.



Zmiany w naczelnym zarządzie armii: Generał zbrojmistrz Franciszek Schoenaich, dotychczasowy minister obrony krajowej w Austryi, mianowany, po ustąpieniu gen. Pitreicha, wspólnym ministrem wojny.

Jubileusz ogrodnika weterana.

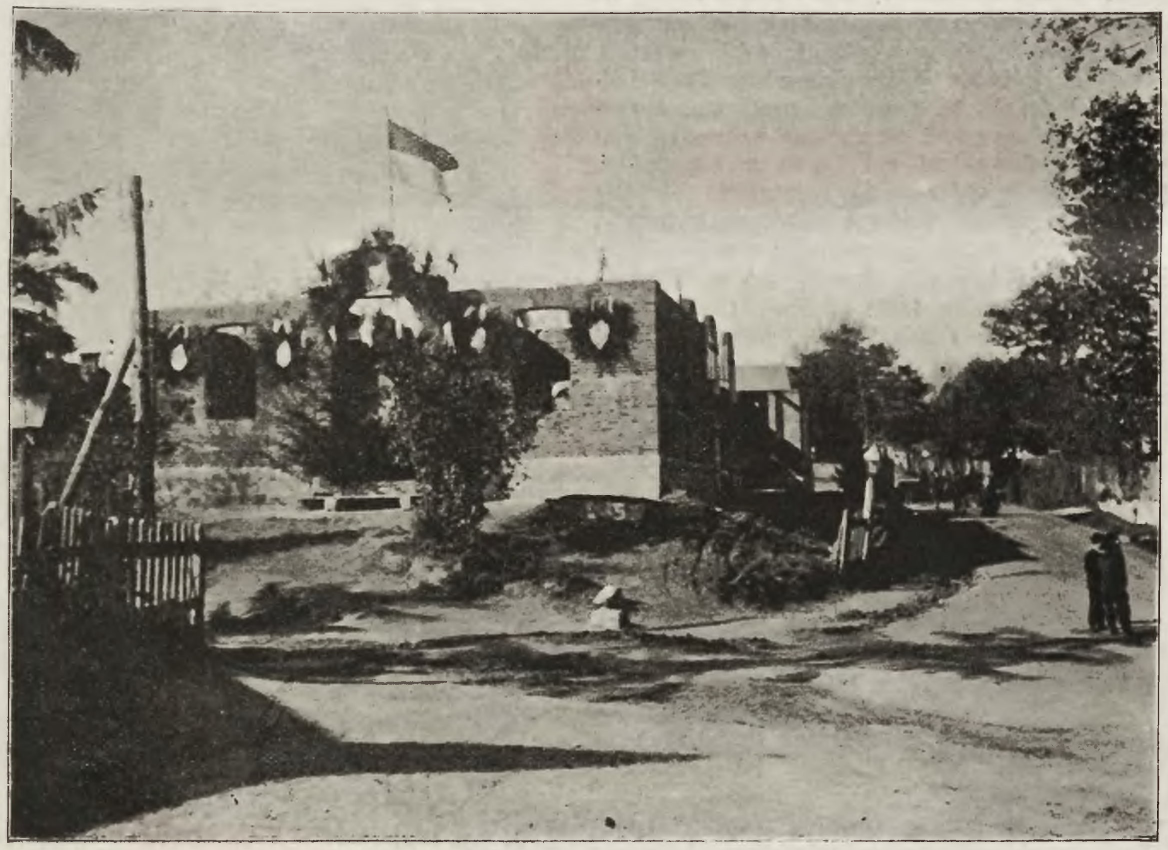
Nie do rzadkości należało dawniej spotykać po staroświeckich dworach oficyalistów, którzy dziesiątki lat bez przerwy wytrwali na wiernej służbie w jednym domu. a sami byli synami ludzi, którzy również w tej samej rodzinie spędzili całe życie, ciesząc się szczęściem chlebodawców, a smucąc się ich nieszczęściami. Taką służbą tradycyjną, która się zżyła z rodziną i losami swych panów, poszczycić się może w dzisiejszych odmiennych czasach jeszcze kilka zaledwie domów w naszym kraju. Do nich w pierwszym rzędzie należy dom ordynatów Siemieńskich Lewickich, gdzie z wielkopańską rodziną zrosły się całe generacye



Fot. Henryk Probstein z Jarosławia.

Jubileusz ogrodnika weterana: Ogrodnik w Pawłosiowie Ignacy Kwieciński, w otoczeniu uczestników jubileuszu 50-lecia jego służby w ordynacyi hr. Siemieńskich-Lewickich.

służby. Właśnie świeżo obchodzono w Pawłósiowie rzadki jubileusz 50 lat służby w dobrach ordynackich ogrodnika Ignacego Kwiecińskiego. Pół wieku wytrwał ten weteran wiernie na swym posterunku, a prawością charakteru i uczciwością zjednał sobie życzliwość szerokich kół przyjaciół. Stosownym obchodem uczcili rocznicę koledzy zawodowi sędziwego Ignacego Kwiecińskiego, którego widzą Czytelniczy na naszej fotografii w otoczeniu uczestników uroczystości jubileuszowych.



Fot. Czerwiński, Bóbrka.
Nowa placówka: Poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę własnego gmachu Sokoła w Bóbrce.

Nowa placówka.

Świeżo wyrosła nowa placówka Sokoła w naszym kraju.

W Bóbrce, głównie za staraniem teraźniejszego Wydziału, na pamiątkę 10 letniego rozwoju Towarzystwa, wybudowano gmach, którego poświęcenie obchodzono 14 b. m. uroczyście.

Podwoje sokolich murów, ubrane odświętnie, uścisnęły gorąco zebrane tłumy, a serca polskie biły w owej chwili żywiej, bo na pobojowisku dawnych walk z hordami Tatarów, zamieszkać ma — jak się wyraził jeden z mówców, dr. Gabryszewski — „dobry duch, zanoszący przed tron Stwórcy łzy czyste, wśród których złączą się dłonie dwóch bratnich narodów".

Zamieszczamy tu dziś widok tych murów, jeszcze nie dokończonych, ubranych w festony i wieńce, murów, wśród których zabrzmieć mają drogie nam piosenki i toczyć się zapasy ćwiczących druhów, będące ważną cegiełką w wielkiej pracy nad odrodzeniem.

Za niezapłacone podatki.

Szare dni życia, to ciężka, brzemienna troska o los; to kartki żywota, pisane łzami; to pasmo nici sterganych... rwanych...

I nasz obrazek jest właśnie taką kartką dziwnie przykrą.

Przed urzędem podatkowym w Bóbrce odbywa się licytacya, prowadzona przez egzekutora p. Janowskiego, licytacya rzeczy za niezapłacone podatki.

Podupadła rodzina, ścigana niezasłużonemi nieszczęściami, nie mogła zapłacić podatków, a stojący nad wszystkiem urząd, bezwzględny, stara się wykonać co do joty zimną literę prawa, przez co spełnia — swój obowiązek.

Zabrane przedmioty, wystawione publicznie, są naocznem świadectwem nędzy, panującej, niestety, w naszym kraju.



Fot. Planer w Bóbrce.
Za niezapłacone podatki: W Bóbrce egzekutor Janowski przeprowadza licytacyę rzeczy podupadłej rodziny, wystawionych na sprzedaż publiczną za niezapłacony podatek.

Następca Gołuchowskiego.

Ważny i odpowiedzialny urząd ministra domu cesarskiego i spraw zagranicznych obejmuje po ustąpieniu hr Gołuchowskiego, na życzenie monarchy, dotychczasowy ambasador austryacki w Petersburgu, Alojzy baron Lexa-Aerenthal, którego portret zamieszczamy obok.

Baron Aerenthal urodził się w roku 1854, liczy więc obecnie lat 52. Karyerę dyplomatyczną rozpoczął w roku 1877 jako prowizoryczny attache przy ambasadzie w Paryżu. W następnym roku złożył egzamin dyplomatyczny i zajął posadę bezpłatnego attache poselskiego przy ambasadzie w Petersburgu. Pozostawał tam przez lat pięć, w ciągu których awansował na attache poselstwa. W roku 1883 powołany został do ministerstwa spraw zagranicznych. Tu upłynęło mu dalszych lat pięć, w ciągu których awansował na radcę legacyjnego II. klasy. Następnie powrócił baron Aerenthal do Petersburga jako pierwszy, dyplomatyczny urzędnik tamtejszej ambasady. W roku 1889 został radcą legacyjnym pierwszej kategoryi, a w roku 1894 otrzymał tytuł i charakter upełnomocnionego ministra. Powołany jeszcze w tymsamym roku do ministerstwa, pozostawał tam przez rok, poczem przeniesiono go do Bukaresztu na stanowisko posła i upełnomocnionego ministra. W cztery lata później, dnia 29 stycznia 1899 przeznaczono go do Petersburga w charakterze nadzwyczajnego i upełnomocnionego ambasadora. Równocześnie otrzymał bar. Aerenthal godność tajnego radcy. Nad Newą położył wielkie zasługi około utrzymania dobrych stosunków pomiędzy Austro-Węgrami a Rosyą.

Nowy minister jest szczerym zwolennikiem trójprzymierza, w którem upatruje gwarancyę pokoju europejskiego. Polityka jego będzie więc kontynuacyą polityki Gołuchowskiego. Z nominacyi jego zadowolony jest głównie rząd berliński, u którego bar. Aerenthal cieszy się opinią rzeczywistego przyjaciela Niemiec. Prasa wiedeńska nazywa go uczniem Kalnoky'ego i podnosi, jako jego szczególną zasługę, przywrócenie dobrych stosunków z Rosyą. W kwestyach wewnętrznych zajmuje podobno to stanowisko, na którem opiera się wiernokonstytucyjna większa, własność ziemska w Czechach. Gdy za rządów Thuna powstało wśród



Następca Gołuchowskiego: Dotychczasowy ambasador austro-węgierski w Petersburgu, Alojzy baron Lexa-Aerenthal, który po hr. Gołuchowskim został ministrem domu cesarskiego i spraw zagranicznych w Austro-Węgrzech.

Niemców czeskich ostre przesilenie, bar. Aerenthal był ich rzecznikiem wobec cesarza.

Baron Aerenthal ożenił się przed czterema laty z hrabianką Pauliną Szechenyi, córką byłego ministra a latere. Prawdopodobnie to jego pokrewieństwo z magnackim domem węgierskim utorowało mu drogę do objęcia tak ważnego posterunku, jakim jest urząd ministra spraw zagranicznych. Za przypuszczeniem tem przemawia ta okoliczność, że do upadku Gołuchowskiego przyczynili się głównie Węgrzy, którzy od dawna nie byli zadowoleni z tego, że teka ministra spraw zagranicznych nie spoczywa w ręku Węgra, albo przynajmniej człowieka, bliżej z Węgrami związanego.



Złotousty kaznodzieja biskupem: Ks. Dr Władysław Bandurski, długoletni kanclerz ks. biskupiego konsystorza w Krakowie, mianowany biskupem sufraganem we Lwowie.

(Do artykułu na str. 4).

Jubileusz gospodarza „Gwiazdy“.

Stowarzyszenie rękodzielników lwowskich „Gwiazda“ zajmuje chlubną kartę w historyi rozbudzenia życia narodowego, umysłowego i towarzyskiego wśród rękodzielników. Zawiązane w pierwszej chwili ery konstytucyjnej przez najszlachetniejsze jednostki, które po orężnej walce roku 1863 rzuciły się z równym zapałem do pracy organicznej, stała się „Gwiazda“ wzorem dla całej niemal prowincyi, gdzie pole pracy narodowej w szeregach rękodzielników i przemysłowców leżało zupełnie odłogiem. Odtąd powstają „Gwiazdy“ jedna za drugą i dziś w Galicyi istnieje 28 takich Stowarzyszeń, a jedno na obczyźnie, w Wiedniu. Jakkolwiek tu i ówdzie formą różne, to jednak duchem jednakie są wszystkie „Gwiazdy“. To też kiełkująca od dłuższego czasu myśl stworzenia Związku „Gwiazd“ wchodzi dziś na realniejsze tory.

W gronie zasłużonych około rozwoju „Gwiazd“ zajmuje zaszczytne miejsce gospodarz lwowskiej „Gwiazdy“, p. Teofil Sauczej. Należał on przed 40 laty do założycieli, a od ćwierć wieku piastuje bez przerwy godność gospodarza. Na tem stanowisku zjednał on sobie sympatyę i uznanie członków. Bo też z niezwykłą gorliwością traktował swój urząd, a troska jego o byt Stowarzyszenia i dobro członków godną jest naśladowania.

Jako dowód uznania „Gwiazda“ urządziła panu Sauczejowi z okazyi jubileuszu serdeczną owacyę. W niedzielę zgromadzili się członkowie w przystrojonej sali Stowarzyszenia, gdzie do jubilata przemówił prezes Stow. Michał Walichiewicz i wręczył mu od wydziału złoty sygnet. Po nim złożył życzenia dyrektor Stow. wzajemnej pomocy „Gwiazdy“ p. Kajetan Laskowski i odsłonił portret jubilata, ofiarowany mu przez członków. Po skromnej uczcie na cześć jubilata, syn jego p. Tadeusz Sauczej dokonał zdjęcia fotograficznego części uczestników podniosłego zebrania.



Bandyta w mundurze: Ratusz w Koepenik pod Berlinem, gdzie bandyta, szewc Vogt, w przebraniu kapitana gwardyi, na czele oddziału żołnierzy uwięził burmistrza i skarbnika, ograbiwszy kasę miejską.



Jubileusz gospodarza „Gwiazdy“ lwowskiej: Teofil Sauczej (×) w otoczeniu uczestników obchodu jubileuszu jego 25-letniej pracy, jako gospodarza „Gwiazdy“.

Bandyta w mundurze.

Przed tygodniem dzienniki były przepełnione opisami rozgłośnej farsy, która nie na scenie, ale w rzeczywistości została odegrana w Koepenick pod Berlinem, gdzie sprytny hultaj ograbił kasę miejską w sposób tak śmiały, tak bezczelny, jakiego nieznały jeszcze kroniki kryminalistyki niemieckiej.

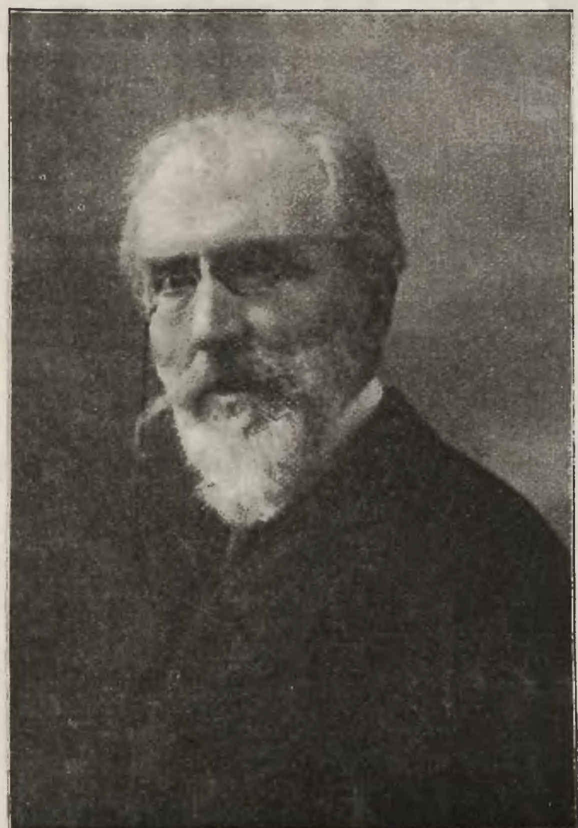
Do gmachu ratusza w Koepenick, którego widok znajdą Czytelnicy w dzisiejszym numerze, wkroczył w porze popołudniowej kapitan pierwszego pułku gwardyi na czele oddziału dragonów i strzelców, obsadził wszystkie wejścia i wyjścia i w „imieniu cesarza“ aresztował obecnego burmistrza, dra Langerhausa (znanego prawnika i milionera) oraz miejskiego skarbnika, barona von Wiltberga. Obu w zamówionych już wcześniej pojazdach, wysłał każdego z osobna pod eskortą dwóch żołnierzy, na główny odwach w Berlinie, gdzie naturalnie wyjaśniła się rzecz cała i obu aresztowanych niezwłocznie uwolniono.

Zarówno z burmistrzem jak i ze skarbnikiem „pan kapitan“ zachowywał się nader gburowato, nie pozwalając na żadne pytania. Po aresztowaniu burmistrza udał się do skarbnika, gdzie w brutalny sposób zażądał zamknięcia ksiąg, gdyż z rozkazu cesarskiego niezwłocznie ma przystąpić do uwięzienia skarbnika. Na żądanie okazania rozkazu uwięzienia, krzyknął kapitan: „Pokażę ja panu w Berlinie na odwachu, a teraz dalej, zabieraj się pan do roboty według moich poleceń, bo w przeciwnym razie, każę innym urzędnikom dokończyć“... Skarbnik dokonał zamknięcia ksiąg, poczem kapitan kazał znajdujące się w kasie pieniądze obliczyć jak przy rewizyi. Suma wynosiła 4002 marek i fenigów kilkanaście. Kapitan wsypał monetę do

woreczków i zapieczętował je. Banknot 1000 markowy schował do portfelu, poczem w księdze odnośnej napisał: „Ma być 4003,00, skonfiskowane pieniądze 4002,00“. Podpisał się nieczytelnie. Wówczas oddał skarbnika w ręce dwu dragonów, którzy przeprowadzili go pośród nadbiegłych tymczasem tłumów tysięcznych do bramy ratuszowej, gdzie czekał już pojazd dla przewiezienia „uwięzionego z rozkazu cesarza“ do Berlina.

Podczas całej procedury wszystkie wejścia i wyjścia ratuszowego gmachu były obsadzone przez wojsko z wydobytą bronią, a po kurytarzach patrolowali również dragoni z nabitemi karabinami.

Któż był owym kapitanem i skąd bandyta w mundurze wziął prawdziwych żołnierzy?



Fot. M. Münz, Lwów.
Miłośnicy przeszłości Lwowa: Wiceprezydent miasta, dr. Tad. Rutowski, inicyator i wiceprezez Tow. mił. przeszłości Lwowa.

Otóż popołudniu do wojskowego zakładu pływania w Berlinie zgłosił się mężczyzna 45 letni, wysoki, nieco przygarbiony, z dużemi siwawemi wąsami, o cerze bezkrwistej, żółtawej, w mundurze kapitana gwardyi i za takiego wzięli go żołnierze w chwili zmiany warty. Energicznym tonem zażądał on, by wartę zwolnioną niezwłocznie oddać do jego dyspozycyi, ponieważ z rozkazu cesarskiego ma dokonać aresztowania. Podoficer nie podejrzewając podstępu, oddał żołnierzy do rozporządzenia „kapitana“, który po drodze zabrał jeszcze drugą zwolnioną wartę 4 pułku gwardyi. Tak połączonemu oddziałowi rozkazał nabić karabiny ostremi nabojami i szykować broń, poczem pociągnął na dworzec miejski i udał się z wojskiem koleją do Koepenick. Tam na stacyi prowadzący oddział „gefreiter“ pozwolił sobie na uwagę, że żołnierze nie jedli obiadu. Na to kapitan kazał w najbliższej traktyerni zjeść im obiad, poczem dopiero udano się do ratusza dla odegrania głównej sceny komedyi. Żołnierze mieli surowy rozkaz nie wpuszczać ani wypuszczać z ratusza nikogo, a rozkaz ten wolno im było poprzeć nawet bronią.

Sprytny bandyta po całej awanturze zbiegł z pieniędzmi, i przez 10 dni nikt nie mógł go odnaleźć. Natrafiono tylko na porzuconą przez niego szablę oraz mundur.

Dopiero w tych dniach roztelegrafowano po świecie, że policyi udało się wpaść na trop hultaja, którym jest — któżby się był domyślił — szewc nazwiskiem Vogt, szubrawiec, który już 27 lat w swojem życiu przesiedział w kryminale. Sprytny ptaszek, przyciśnięty do muru, wyśpiewał teraz wszystko i przyznał się, że jest autorem pomysłowej farsy w Koepenick.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy oprócz widocznego powyżej ratusza w Koepenick, jeszcze szereg illustracyj do tej rozgłośnej afery. Znajdzie je Czytelnik na innem miejscu.

Również rycina tytułowa przedstawia główną chwilę komedyi w Koepenick, kiedy wywożą burmistrza z ratusza — na odwach do Berlina.

Miłośnicy przeszłości Lwowa.

Przeszłość Lwowa jest sławną, jest wielką, godzi się więc, by pamiątki z onych świetnych czasów przetrwały na wieki, by pamięć ich nigdy nie zaginęła. A przecież dotąd miłośników tych du-



Fot. E. Trzemeski, Lwów.
Miłośnicy przeszłości Lwowa: Historyk, prof. dr. Lud. Kubala, prezez Tow. mił. przeszł. Lwowa.

mnych dziejów stolicy kraju, tak było mało. A przecież tyle w ostatnich latach spełniono wandalizmów, niszcząc przepiękne, stylowe i ogromnie wartościowe zabytki historyczne z dziedziny budownictwa, kultury, sztuki. Trzeba więc było temu zaradzić, aby uchronić koniecznie resztki. Trzeba było obudzić zamiłowanie do przeszłości Lwowa i jego pamiątek; zrobił to dr Władysław Łoziński w swych wielu pracach monograficznych, odnoszących się do dziejów Lwowa; trzeba było dalej zebrać tych miłośników razem, w towarzystwo, aby wspólnie pracować dla rozszerzenia tego zamiłowania; to znowu zrobił wiceprezydent



Fot. E. Trzemeski, Lwów.
Miłośnicy przeszłości Lwowa: Radca miejski, dr. Al. Lisiewicz, skarbnik Tow. mił. przeszł. Lwowa.

dr Rutowski. On mianowicie jest inicyatorem „Towarzystwa miłośników przeszłości Lwowa“, które właśnie się zorganizowało i jemu należy chluba doprowadzenia tego kulturalnego przedsięwzięcia, o którem wielu już dawniej myślało — do skutku.

Towarzystwo miłośników przeszłości Lwowa wytknęło sobie jako cel poznawanie dziejowej przeszłości Lwowa, budzenie poszanowania dla jego pamiątek i zabytków wśród ogółu mieszkańców, ratowanie od zatraty i gromadzenie zabytków przeszłości w zbiorach miejskich. W ten sposób mamy więc drugie w Polsce towarzystwo ochrony zabytków przeszłości. Pierwsze, istniejące od lat dziesięciu w Krakowie, liczy już dziś 640 członków, wydało w czasie tym ośm tomów wspaniałych „Roczników krakowskich“, 33 tomów popu-



Fot. T. Bahrynowicz, Lwów.
Miłośnicy przeszłości Lwowa: Dyrektor archiwum miejskiego, dr. Al. Czołowski, sekretarz Tow, mił. przeszł. Lwowa.

larnej „Biblioteki krakowskiej“. Nie mniej spodziewać się należy, że i Lwów udzieli na cele tego towarzystwa odpowiedniej subwencyi w danym razie i zainteresuje akcyą odnośną szerokie warstwy społeczeństwa.

Rękojmią, iż towarzystwo to będzie dzielnie dla dobra Lwowa pracowało, są nazwiska tych ludzi, którzy objęli w swe ręce ster towarzystwa. I tak na czele jego stanął jako prezes, znakomity nasz uczony, historyk, prof. dr Ludwik Kubala; jako zastępca prezesa wiceprezydent miasta i inicyator założenia towarzystwa dr Rutowski; jako sekretarz dr Aleksander Czołowski, dyrektor archiwum miejskiego we Lwowie; jako skarbnik wreszcie dr Al. Lisiewicz, jeden z najdzielniejszych członków lwowskiej Rady miejskiej. Portrety ich zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

„Sokół“ w Skolem.

W rocznicę założenia gniazda sokolego w Skolem fotografowali się członkowie wydziału w grupie, którą tu zamieszczamy. Kiedy obecny sekretarz p. Andrzejewski, zapraszał przyszłych druhów do założenia gniazda, było zaledwie 13 członków; dziś liczy ich Sokół skolski 73, w tych 10 ćwiczących, a 30 umundurowanych. Legitymacyj wydano już przeszło 100 druhom, ale 30 z nich bądź wyjechało, bądź zostało przeniesionych na inne posterunki służbowe. Skromna liczba ćwiczących nie zdziwi nikogo z tych, którzy wiedzą, w jak trudnych warunkach rozwija się Sokół tutejszy. Czytelnicy pamiętają zapewne z dzienników głośną sprawę zniszczenia przez „siczowników“ bramy tryumfalnej na boisku skolskiem w czasie zlotu sokolego, przyczem nawet zamordowano wartownika. Sprawców zbrodni nie wykryto i przerwano dalsze śledztwo w sprawie tego mordu. Niedawno zaś dla braku dowodów uwolnił trybunał podsądnych w sprawie owego barbarzyństwa na boisku Sokoła skolskiego.

TOMASZ COBB.

Tajemnicza zbrodnia

z angielskiego przełożył W. L.

4 Ciąg dalszy.

— No widzisz, bądźże rozsądną i nie pozwól, aby doktór Viret czekał na ciebie tak długo.

Po krótkiej namowie udało się wreszcie Florze uspokoić oporną sługę, Anna zgodziła się wreszcie po uciążliwych prośbach i przedstawieniach i poszła aczkolwiek niechętnie do biblioteki, gdzie czekał doktór Viret.

— Co wam brakuje — zapytał doktór, chwytając ją za rękę. Szybko powiódł sprawnym okiem po jej całej postaci.

— W jaki sposób otrzymaliście tę ranę na czole?

Anna przesunęła zwolna ręką po lewej skroni, gdzie widać było wyraźnie wązką, żółtą szramę.

— Skaleczyłam się przeszłej środy, już ośm dni minęło od tego czasu — odparła krótko. — Upadłam na marmurowy kant umywalni.

— Czy zdarzyło wam się coś podobnego kiedyś przedtem? Czyście kiedyś podobnie upadli? — badał dr Viret tonem łagodnym.

— Nie! Coś podobnego zdarzyło mi się po raz pierwszy dopiero. Pierwszy raz straciłam zmysły z osłabienia; dostałam gwałtownego zawrotu głowy i jakiegoś bardzo nieprzyjemnego uczucia strachu.

Doktór Viret schylił się, aby posłuchać bicia jej serca.

— No dobrze, już dobrze! Możecie już odejść spokojnie.

Skoro tylko Anna znalazła się za drzwiami, zwrócił się Viret do Florencyi:

— Przyjdę niebawem — powiedział — przyniosę mój stetoskop — boję się, że Anna poważnie już chora.

ROZDZIAŁ VII.

Nowa służba.

Dnia następnego po rozmowie Józefa Bodgera z Owenem Fairfordem, zapukał Bodger do jednego z domów przy Seymour Street, Hyde Park.

Wywieszone ogłoszenia bijące w oczy przechodniów świadczyły o wolnych pomieszkaniach. Jakiś ogromnie podejrzany jegomość, którego nos przypominał zupełnie fioletowy kolor, otworzył drżącemi rękoma bramę.

— Na Boga! Józefie! Nie mogę cię poznać! A toś się dopiero wystroił! Istny gogo z ciebie! — zawołał z niekłamanym podziwem. Chwała Bogu, że nie jesteś już pod kluczem! Niechaj będzie pochwalona twoja wolność, jeśli uczciwą pracą zarabiasz na kawałek chleba!

— Niewiele przyszłoby mi z tej uczciwej pracy — odparł Bodger ironicznie — słuchaj co ci teraz opowiem i nie graj przedemną roli moralizatora. Przyjdzie tu list do mnie, do pana Józefa Bodgera, żebyś mi się nie ważył otworzyć go czasem. Jeśli nie zechcesz spełnić skrupulatnie mego rozkazu, pochwycę cię za twój łeb idyotyczny i tak długo nim będę obracał, aż pozostanie mi w ręku. Jutro zjawię się znowu! Jeśli sprawisz się dobrze, nie zapomnę o tobie — zapłacę po pańsku!

Wkrótce potem nadszedł list do pana Fairforda, gdzie donoszono mu na jego zapytanie co do Wilhelma Sandersa, jak najlepsze rzeczy. Sanders cieszy się bardzo ładną opinią, dla swej uprzejmości, niezwykłej zręczności i co więcej ogromnie rzadkiej dzisiaj wierności. Jedyną jego wadą to chyba tylko, że lubi ogromnie rozmawiać z dziewczętami i skłonny jest troszkę do niepunktualności.

W sobotę rano zastał już Józef w sklepie balwierza Jonesa przy ulicy Zachodniej pożądaną odpowiedź. Wilhelm Sanders miał się stawić w poniedziałek w Rookfield.

Stosownie do rozkazu zjawił się Józef o 8 wieczorem, w towarzystwie posługacza kolejowego, który mu odniósł kuferek.

— Spodziewam się, że świadectwa świadczą o mnie wcale pochlebnie — powiedział kłaniając się nizko.

— W przeciwnym razie nie pisałbym po was — odpowiedział Owen krótko. Bierzcie kufer i dalej za mną!

Prócz paru dużych pudeł, była stajnia do której Owen Bodgera prowadził zupełnie próżna.

W samym kącie widać było drabinę, po której spinać się musieli, chcąc dostać się do urządzonej sypialni.

— Zjawcie się następnie w kuchni — odparł Owen, — skoro Józef umieścił swój kuferek w kącie — pani Cawdrey pamiętać ma o was.

— Do usług łaskawego pana!

Skoro pozostał sam, rozglądnął się Bodger po nowem mieszkaniu. Przez jedno jedyne okno spoglądał na ogród duży, otoczony wysokim murem. Wprost okna spostrzegł drzwi drugie. Przy bliższem badaniu pokazało się, że drzwi te są szczelnie zamknięte.

Powróciwszy do domu mieszkalnego, szedł obok spiżarni i drugiego gmachu, sąsiadującego z nią zaraz. Podobnie jak na piętra górne można się było dostać w tę część zapomocą wązkich drzwi znajdujących się na samym końcu korytarza. Drzwi stały właśnie otworem i zamykały się — jak Bodger natychmiast spostrzegł — od wewnątrz. Rozmaite wejścia wiodły do środka gmachu.

Bodger zapukał do jednych drzwi o których przypuszczał, że prowadzą do kuchni.

— Proszę — posłyszał natychmiast głos szorstki kobiecy.

Bodger postąpił naprzód.

— Dobry wieczór panu — zawołała pani Cawdrey — spodziewam się, że wytarłeś pan sobie buty porządnie!

Gospodyni mogła liczyć lat przeszło 50. Była to niemierna okazała i poważna kobieta, ubierała się bez kokieteryi, nosiła biały czepek na głowie. Z pękiem kluczy u boku była ogromnie podobna do surowej, zgryźliwej dozorczyni więźniów.

— Tak długo niemi szurałem po ziemi, że zdarłem zupełnie podeszwy — odpowiedział Bodger ze spuszczoną głową. Potem rzucił okiem z ukosa na Sarę, drżącą jak listek osiki na myśl, że Bodger może lada chwila zdradzić nieoględnie jego pierwszą schadzkę.

— Proszę pana bliżej do kolacyi rozkazała pani Cawdrey, zajmując pierwsze miejsce u stołu. Sara i Bodger usiedli naprzeciw gospodyni. Bodger nie mógł wyzwolić się z pod wpływu, jaki wywierała na nim surowa klucznica. Każde jej słowo brzmiało w jej ustach niby rozkaz nieodwołalny, obecność jej i stanowisko, jakie zajmowała w domu Fairforda, zdały się ukrywać jakąś straszną tajemnicę, domagającą się natychmiastowego wyświetlenia.

— Wcale ładny wygodny pałacyk — zauważył Józef, spoglądając na otaczające go sprzęty nie bez widocznego zakłopotania.

— Bardzo mi przyjemnie, że pan tego zdania — odparła Sara, ośmielona nieco jego śmiałem wystąpieniem — co do mnie jednak, to jeśli mam być szczerą, muszę wyznać z przykrością, że nie przypadł mi ten domek zupełnie do gustu, mogłabym się śmiało założyć, że go ktoś zaczarował.

— Niech się pani uspokoi — odparł Bodger z galanteryą, — postaramy się urządzić sobie możliwie wygodne gniazdeczko.

— Pański dłuższy lub krótszy pobyt zależeć będzie od prowadzenia się — zagadnęła go pani Cawdrey tonem szorstkim — ty zas Saro, powinnaś się wstydzić prowadzić tak bezbożną rozmowę! „Zaczarowany!" Czy to kto słyszał?"

Na tem urwała się dalsza rozmowa. Bodger spostrzegł natychmiast, że sprytna klucznica postanowiła towarzyszyć mu na każdym kroku, wie dział, że będzie go potajemnie śledziła, że nie straci go z oczu ani na chwilę. Całe jej zachowanie było ogromnie szorstkie, niegrzeczne i odpychające, mogące nowego służącego zrazić do niej na zawsze.

Skoro z latarką w ręku dostał się z powrotom do swojej sypialni, zaparł najpierw jedne drzwi starannie, drugie zaś usiłował otworzyć, przyczem pomagały mu ogromnie jego narzędzia do włamywania, jakie miał przy sobie w kuferku. Ukląkł następnie na ziemi, badał dokładnie zamknięcie, i po dłuższem usiłowaniu, udało mu się drzwi tajemnicze otworzyć. Prowadziły one na pewnego rodzaju stryszek, który Józef oglądał teraz przy niedostatecznem oświetleniu swej latarki. W oddaleniu paru stóp od posadzki ujrzał małe okienko. Wyszedłszy na stołek, przyniesiony z sypialni, mógł obejrzeć przez okno całą okolicę dokładnie. Jakkolwiek większą część nocy spędził na tym niebardzo wygodnym posterunku, bacznie zważając na najdrobniejszy nawet szelest — nie mógł jednak nikogo zobaczyć w ogrodzie. Następnego poranku wszedł znowu wielce zmartwiony na śniadanie, gdyż noc po której się tyle spodziewał, zawiodła go najniespodziewaniej.

Pani Cawdrey wydała mu się przy świetle dziennym jeszcze straszniejszą i okropniejszą, wskazała mu szorstko jego robotę, lecz skoro w niespełna pół godziny potem znikła z pokoju jak kamfora, Józef, party ciekawością, nie mógł już dłużej wytrzymać na miejscu, szybko poskoczył korytarzem w stronę tajemniczej komnaty; jak lis zaczął się skradać po schodach. Schowawszy się ostrożnie przed wejściem, oglądał zaciekawiony wszystko dokoła. Na zamkach znał się dobrze, ten zamek jednak, który ujrzał w drzwiach zamykających wejście do zakazanej komnaty, sprawił mu niemało kłopotu. Drzwi nie miały klamki zupełnie, można je było otworzyć od strony zewnętrznej zapomocą klucza, nadzwyczaj sztucznie sporządzonego, jak to wskazywał sam zamek.

Pan wcale pilnie pracuje — zawołała na niego Sara z przedpokoju.

Rzuciłem tylko okiem na zamek nadzwyczaj ciekawy i oryginalny w swoim rodzaju — odpowiedział, schodząc szybko po schodach — nasz pan lubi się, jak widzę wcale starannie zamykać.

Pan Fairford nie mieszka przecież na górze — ma pokój sypialny za jadalnią. Czy pan widzi jednak te drzwi? — szeptała cicho, wskazując na koniec korytarza, skąd prowadziły drzwi do ogrodu, otwarte jak poprzedniego wieczoru. — Gdy się spać kładę, drzwi zastaję zawsze otwarte, natomiast stale są znowu rano zamknięte, gdy wcześniej wstanę od pani Cawdrey. Wcale to nieprzyjemne, że mnie tak na noc zamykają, — cóżbym ja biedna zrobiła, gdyby tak wybuchł ogień? Lecz co najciekawsze przytem, że słyszę czesto kroki jakiejś niewidzialnej osoby.

— Skąd pani może przypuszczać, że kroki te pochodzą od jakiejś niewidzialnej osoby? — zapytał Bodger z pozorną obojętnością.

— Gdzież są jej trzewiki — tego nocnego jegomościa? -- odparła Sara — pan czyści przecież tylko dwie pary, a obie należą do pana Fairforda. Człowiek jeść musi, a jeśli ktoś tam mieszka na górze, żyje z pewnością powietrzem.

— Toby była sztuka nielada — odpowiedział Bodger z uśmiechem — o tym nocnym gościu musi pani Cawdrey pamiętać!

— Nic o tem nie mogę mówić, gdyż wiem tyle co i pan w tej sprawie — lecz trzeba uciekać, bo wnet zjawi się ta stara wiedźma przedemną, i palnie zaraz porządne kazanie, jeśli zastanie mnie na rozmowie z panem.

Po śniadaniu zaprowadził Owen Bodgera do ogrodu. Oprowadził go po składzie narzędzi znajdującym się poza stajnią i krótko objaśnił mu jego zadanie. Bodger znalazłszy się sam jeden, począł z niechęcią spoglądać na najrozmaitsze łopaty i rydle. Z natury czuł jakiś nieprzezwyciężony wstręt do wszystkich narzędzi z wyjątkiem wytrychów i innych przyrządów złodziejskich. Od dłuższego czasu nie zajmował się już pracą uczciwą, więc wolałby raczej wziąć żmiję do ręki, niżli rydel lub łopatę.

Ogród, którego wysoki mur zakryty drzewami brzoskwiniowemi i czereśniami, nie pozwalał dalej popatrzeć, znajdował się w stanie bardzo zaniedbanym. Między szpalerami na samym końcu oddziału owocowego widniało wprawdzie parę krzaczków agrestu i porzeczek, lecz droga porosła już trawą, a wszystkie grządki, z wyjątkiem paru, wydane były na łup najrozmaitszego chwastu i zepsutej kapusty.

Po kilkunastominutowej pracy, wsparł się Bodger na łopacie, otarł pot spadający mu z czoła kroplami i skierował zwrok w stronę okien ścian tylnych budynku, gdzie matowe szyby zasłaniały wnętrze pokoju.

— Przeklęta ostrożność — mruczał ze złością.

Jakiż mógł być powód tego tajemniczego postępowania? Dlaczego Fairford spał w suterenach? Dlaczego kazał służącemu spać w stajni zdala od domu mieszkalnego? Co mogło skłonić go do tego, że na noc zamykał pokój dziewczęcia i odgradzał całe górne piętro od reszty mieszkania? Wszystkie te zagadki łechtały w wysokim stopniu ciekawość Bodgera, postanowił więc rozpatrzeć się bliżej. Głównym celem jego było teraz zbadać możliwie najdokładniej, kto zamieszkuje piętro górne, i jeśli się uda, wpaść na ślad nocnego gościa.

Tymczasem upływał dzień po dniu, a Bodger nie dowiedział się niczego. Pani Cawdrey ustawicznie go miała na oku, nie pozwalała mu do ostatecznego załatwienia tej kwestyi, a i Owen pilnie uważał na niego.

Jakie stanowisko zajmowała właściwie pani Cawdrey w domu Fairforda, nie mógł tego Józef wybadać. Chociaż starała się o jedzenie dla niego, wystawiając jego żołądek na bolesne nieraz próby, nie miała charakteru służącej. Nie wie-

dział także, czy jej dozwolono chodzić na górne piętro — godzinami całymi obserwował jej ruchy, mimo to nie zauważył ani razu, jak szła po schodach do góry. Skoro tylko noc zapadła, zrzucał z siebie marynarkę, zapalał fajkę, sadowił się przy oknie na krześle, bacznie zwracając na najdrobniejsze nawet ruchy Fairforda lub pani Cawdrey. I chociaż postępował ze zręcznością i wytrwałością płatnego detektywa, rozwiązanie zagadki nie posuwało się ani na krok dalej. Mimo to jednak zaprzysiągł sobie w duchu, że nie pierwej porzuci służbę u Fairforda, aż dojdzie do wytkniętego celu.

We czwartek popołudniu, w chwili gdy obie kobiety zajęte były czemś w kuchni, oparł Bodger łopatę o drzewo i chyłkiem skradał się ku domowi, zaglądając ostrożnie do przedpokoju. Przedpokój był zupełnie próżny — jak kot znalazł się w gmachu dotychczas dla niego nieznanym. Nagle rozległy się tuż, ponad jego głową ciężkie kroki, jakgdyby ktoś chodził po pokoju górnym tam i z powrotem.

Kto to mógł być? Sara i pani Cawdrey były przecież w kuchni. Pozostawał zatem albo Fairford, którego Bodger od paru godzin nie widział, albo też tajemnicza dama, znana dobrze Józefowi z ostatniego poniedziałku. Przypomniał sobie natychmiast całą sytuacyę ówczesną. Tajemnicza dama przechadzała się czas jakiś po ogrodzie i nim Bodger mógł się jej bliżej przypatrzeć, znikła niespodziewanie w tym gmachu.

— Czy nie wie pani czasem, gdzie może być teraz pan Fairford?— zapytał parę minut później Bodger pani Cawdrey.

— Czego pan sobie życzy od niego? — posłyszał w szorstkim i opryskliwym tonie.

— Chciałem się go poradzić w pewnej sprawie co do ogrodu — nic ważnego, proszę pani — odpowiedział Józef z wyszukaną grzecznością, starając się zawsze swą niezwykłą uprzejmością uszczypnąć panią Cawdrey za jej niewytłómaczoną szorstkość względem niego.

— Pan Fairford schodzi właśnie na dół, — zawołała Sara.

Bodger wrócił do swojej roboty, zadawszy jakieś obojętne pytanie Fairfordowi.

Skoro znalazł się w ogrodzie, począł zastanawiać się nad wszystkiem głęboko. Kroki, które posłyszał tam w sieni — filozofował — pozwalałyby przypuszczać, że znajduje się tam ktoś obcy. Lecz był tam równocześnie i Fairford! Nowe podejrzenie obudziło się w głowie Bodgera, nowy plan już gotował, który miał go doprowadzić bez kwestyi do upragnionego celu.

ROZDZIAŁ VIII.

Przechadzka po lesie.

W tydzień po objęciu posady przez Bodgera, siedziała panna Flora w bibliotece swego ojca. Promyk słońca igrał wesoło po złoconej okładce książki, jaką czytała w tej chwili — dziś miała więcej siły.

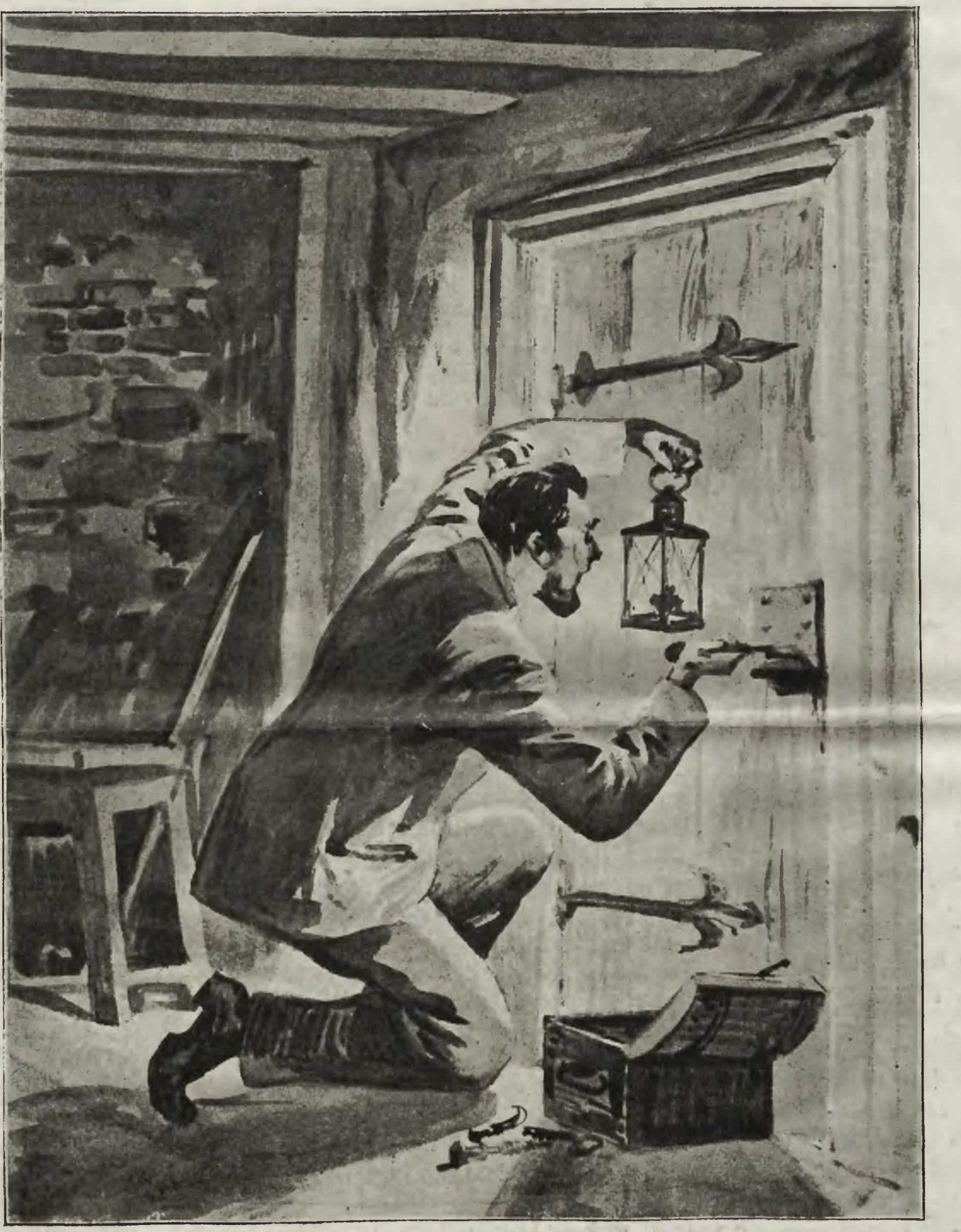
Dom jej ojca stał się dla niej czemś w rodzaju bolesnego więzienia. Pragnęła całą swą duszą młodzieńczą wyrwać się z niego, aby gdzieś zdala od strzechy rodzinnej, oswobodzić się od myśli, które ją uporczywie trapiły.

— Ma panienka zupełną racyę — dodawała jej odwagi Anna, gdy młode dziewczę zjawiło się w tym celu już ubrane w jej pokoiku — młodzież niedobrze czyni, zamykając się przed światem i przyjaciółmi. Płaczem i rozpaczą nie przywołamy zmarłych do życia!

Anna myślała ciągle o swej biednej pani — zagadkowego zniknięcia Derwenta nie wspominała nigdy, a jeśli z ust jej wyrwało się niepostrzeżenie jakieś słowo, dotyczące tej sprawy, Flora odnosiła zawsze wrażenie, że Anną zupełnie nie wstrząsnął ten bolesny wypadek.

Skoro Flora przekonała się, że Annie niczego nie brak, opuściła rodzinny domek i skierowała swe kroki w stronę pobliskiego lasu. Na pogodnem niebie nie widać było ani jednej chmurki. Kępki kwitnących kwiatów polnych pokazywały się tu i ówdzie, wzdłuż drogi wysokie jodły strzelały w górę tak ostro i wyraźnie, iż się zdawało osieroconemu dziewczęciu, że mogła by policzyć wszystkie listki na drzewach. Świeże wiosenne powietrze wdychała całą piersią — czasami schyliła się, aby zerwać wrzos lub polny bławatek. Lekki powiew wiatru muskał jej wysmukłą postać, rumieniąc zlekka jej zrozpaczoną twarzyczkę, a skoro wszedłszy z gościńca, znalazła się w szczerem polu, wśród tylu kwiatów, serce poczęło jej bić z nadmiaru rozkoszy i pomyślała sobie, że przecież warto żyć na tym świecie.

Lecz chociaż świat uśmiechał się do niej, wszystko na co rzuciła okiem, budziło na pół uśpione wspomnienia. Tam w dolinie szukała wraz z ojcem pierwszej goryczki, — na łąkach, zwyczajem swawolnego dziecka zdmuchiwała okwiat ostu i nie bała się nawet bagnistych brzegów strumyka, wspinając się w pogoni za majówką lub niezapominajką.



Ukląkł następnie na ziemi, badał dokładnie zamknięcie i po dłuższem usiłowaniu udało mu się drzwi tajemnicze otworzyć.

Gdy myślała o ojcu, zastanawiała się nieraz nad jego spadkobiercą. Ileż tygodni będzie musiało upłynąć, zanim Arnold przybędzie do Anglii. Flora kochała Arnolda jak brata. Nie rozmawiali nigdy jak zakochani, lecz każde spotkanie z nim, każde słowo, które padło z ust jego, pozostało głęboko w jej pamięci. Poraz pierwszy w życiu odważyła się zganić postępowanie ojca! Dla Arnolda był jej zdaniem stanowczo za surowy!

Arnold był już dorosłym młodzieńcem, gdy Flora nosiła jeszcze krótką sukienkę i długie złote warkocze. Gdy wyrosła trochę a on odjechał do Londynu, ażeby zgodnie z życzeniem stryja pójść na medycynę, widywali się rzadziej. Ostatnia wizyta, jaką złożył im we „Wroniem Gnieździe“ zakończyła się smutno, przyszło bowiem do nieprzyjemnej sceny między synowcem a stryjem; dlatego wolała nie myśleć o tem, przypominając sobie swe lata dziecinne, zbiegłe tak niepostrzeżenie. To, co ją teraz łączyło z Arnoldem, nazwałaby raczej miłem wspomnieniem wypadków, jakie razem przeżyli, niż prawdziwą miłością. Kochała go jak brata i towarzysza zabaw, przypuszczała zatem, że jego oczekiwane przybycie wniesie w jej monotonny żywot nieco świeżości i odmiany, że przy jego boku prędzej zapomni o swem okropnem położeniu. Mały szmer przerwał jej medytacye.

Oglądnęła się i ujrzała przed sobą Owena Fairforda. Miał na sobie lekką, wygodną burkę — stał wsparty na silnej lasce. Gdy kłaniał się, przemknęło po jej pięknej twarzyczce coś niby uśmiech zadowolenia. Oczekiwała nieśmiało, aż Owen zbliży się do niej.

Świeży poranny wietrzyk igrał z jej cudnemi włosami, spływającemi niedbale na ramiona.

— Nie spodziewałem się zastać tu pani — odpowiedział Fairfor ściskając serdecznie podaną rękę. Czyż mogłem przypuszczać, że spotka mnie tak wielkie szczęście już zrana?

Flora cofnęła się mimowoli, nie wiedząc co odpowiedzieć. Uczucie zakłopotania ustąpiło wtedy dopiero, gdy Fairford zaczął mówić dalej ze zwykłym spokojem: — Widziałem panią zdaleka, szedłem też jej śladem aż tutaj.

— Poraz pierwszy od dłuższego czasu odważyłam się wyjść nieco dalej — odparła, podając mu swe ramię. Tutaj na łonie natury poczułam nagle taką ochotę do życia, że gdybym mogła, nie wróciłabym już nigdy do opustoszałego mego domu. Bo niech pan tylko zastanowi się nad tem — panie Fairford — czy wyobraża pan sobie coś bardziej straszniejszego i boleśniejszego? Ojciec znika najniespodziewaniej bezpośrednio po śmierci ukochanej matki, a nikt nie jest w stanie wskazać jego ukrycia lub przyczynić się w jakikolwiek sposób do wyjaśnienia tej okropnej tragedyi. Myślę o tem tak często, że zdaje mi się, iż oszaleć mi przyjdzie.

— Czy pani przypuszcza, że stan ten boleśniejszym jest dla pani, niż najtragiczniejsza nawet rzeczywistość?

— Tak też sądziłam nieraz! Z każdym dniem zaciera się obraz mej matki coraz bardziej — lecz boleść jaka nurtuje w mej duszy po zniknięciu ojca, nie da się z tem nawet porównać.

— Możliwe! — przerwał jej Owen — śmierć nie jest najgorszem złem. Mamy przynajmniej tę satysfakcyę, iż wiemy, że my tylko musimy cierpieć — podczas gdy zmarła osoba, tak droga naszemu sercu, wolna jest już zupełnie od mąk i przykrości tego życia. Daleko bardziej nas boli, jeśli zmuszeni jesteśmy patrzeć, jak upada pod brzemieniem nieszczęścia, co niespodziewanie spadło na jego głowę, i nie módz przynieść mu ulgi.

Panna Derwent spojrzała mimowoli na towarzysza. Owen spuścił oczy ku ziemi, szerokie ramiona pochylił z lekka naprzód i trącał niedbale końcem laski polną różę. Czyżby Owen kochał kogoś potajemnie i nie mógł mu pomódz?

— Czy pani zna dokładnie przyszłość, jaka panią czeka — zagadnął Fairford, zmieniając nagle rozmowę, gdy weszli na ożywiony gościniec.

— Dotychczas nie jeszcze — myślałam tylko o przeszłości — odpowiedziała panna Derwent — przeszłość a zwłaszcza historya dni ostatnich, stanowi dla mnie równie trudną do rozwiązania zagadkę.

— Przypuszczam, że nie myśli pani o opuszczeniu „Wroniego Gniazda“?

— Doktor Viret, dokłada wszelkich starań, ażeby mi ten krok właśnie, jako najrozsądniejszy przedstawić.

— Czy doktor Viret bierze tę sprawę na seryo?

— Najzupełniej w świecie! Odstępuje mi równocześnie swoje mieszkanie.

— Czy wolno spytać, jaką otrzymał odpowiedź?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Podwójne morderstwo w Mysłowej.

We wsi Mysłowej koło Podwołoczysk stała zdala od chat, na wzgórzu, samotna karczma, a w niej mieszkało dwoje starców karczmarzy, Salomon i Rozalia Rosenbaumowie. Żyli oszczędnie i skromnie, to też uciułali spory majątek, którego część ulokowali na książeczkach kasy oszczędności część zaś przechowywali w domu w gotówce.

W nocy na 19 r. m. zostali oboje Rosenbaumowie w okrutny sposób zamordowani, wobec tego zaś, że brakowało znacznej części gotówki, bo przeszło 1000 kor. nie ulegało kwestyi, iż motywem strasznej zbrodni była chęć rabunku. Na wieść o morderstwie rozpoczęła żandarmerya dochodzenia, które uwieńczone zostały pomyślnym rezultatem. Początkowo podejrzenie padło na czteru chłopów miejscowych, którzy w noc krytyczną zabawiali się dłużej w karczmie Rosenbaumów, okazało się jednak, iż podejrzenie to było bezpodstawne. Zwrócono tedy śledztwo w innym kierunku. W tym właśnie czasie uszło uwagi policyi w Podwołoczyskach, że dwaj tamtejsi włóczędzy, Michał Podgórny i Michał Jankowicz wesoło się bawią trwoniąc lekkomyślnie pieniądze. Zawiadomiony o tem sędzia śledczy postanowił więc przeprowadzić u obu podejrzanych rewizyę. Tymczasem jeden z nich, Michał Podgórny, ulotnił się z Podwołoczysk i jak opowiadali sąsiedzi, udał się do Lwowa. Dano o tem niezwłocznie znać policyi lwowskiej, która też uwięziła Podgórnego w chwili, gdy bawił u swej siostry, służącej przy ul. Głębokiej. Uwięziony, przyznał się Podgórny do udziału w zbrodni, twierdzi jednak, iż sam nie zamordował ani Rosenbauma ani jego żony, lecz tylko stał na czatach, gdy Jankowicz popełniał zbrodnię. Za to dostał 50 koron. Żandarmerya uwięziła równocześnie Jankowicza, tak więc obaj zbrodniarze dostali się w ręce sprawiedliwości i za straszny swój czyn odpowiedzą przed sądem.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portret jednego z morderców Rosenbaumów, Michała Podgórnego.

Wytworni rabusie.

Po miastach rosyjskich, podobnie jak na tamtejszych kolejach, trafiają się teraz coraz częściej wypadki śmiałego rabunku nawet w biały dzień, których sprawcy wyglądają tak elegancko, iż trudno ich podejrzewać, by byli najzwyklejszymi bandytami. Oto co naprzykład zapisały kroniki ubiegłego tygodnia. Do przedziału pierwszej klasy pociągu, jadącego ze Zmierzynki do Podwołoczysk weszło dwóch wytwornych na pozór podróżnych. Znajdujące się w przedziale dwie samotne panie (Rowińska i Kowalewska) przyjęły wchodzących z niezadowoleniem i niedowierzaniem. Uprosił je wszakże konduktor, by pozwoliły przysiąść się owym panom, gdyż nie miał dla nich innego miejsca w przedziałach pierwszej klasy, z powodu przepełnienia pociągu. Łatwo sobie wyobrazić przerażenie samotnych kobiet, gdy po paru godzinach podróży zażądali naraz owi eleganccy pasażerowie od nich gotówki i zmusili je do otwarcia waliz. Pani Kowalewskiej zabrali złoczyńcy całą gotówkę, jaką miała, przy sobie, w kwocie 1 000 rubli, i futerko kosztowne z niebieskich lisów. Zresztą obu paniom odebrali wszelką biżuteryę wartości kilku tysięcy rubli i wypróżnili walizki z najkosztowniejszych przedmiotów. Alarmować nikogo nie mogły, gdyż rabusie grozili strzelaniem, więc musiały do końca zachowywać się biernie — jak widać na naszej rycinie — i przypatrywać się wreszcie ich zręcznej a szczęśliwej ucieczce.. przez okno wagonu. Obie podróżne jechały na Południe, jedna do chorej córki, druga do chorego męża.



Fot. T. Bahrynowicz, Lwów.
Podwójne morderstwo w Mysłowej: Michał Podgórny, który do spółki z Jankowiczem, w celach rabunkowych, zamordował małżonków Rosenbaumów.

Tajfun w Honkongu.

Z Honkongu nadeszły teraz fotografie przedstawiające obrazy zniszczenia, jakiego niedawno dokonał niebywale straszny tajfun na morzu chińskiem. Zamieszczamy tu dziś cztery ryciny, ilustrujące port w Honkongu po katastrafie, w której zginęło 5000 chińczyków, a która sprawiła szkód na 20 milionów dolarów. Żadna fotografia jednak nie da w przybliżeniu nawet pojęcia o grozie nieszczęścia. Dość powiedzieć, że ofiarą elementarnej katastrofy padło dwadzieścia ośm statków, między nimi siedm niemieckich statków handlowych, cztery angielskie i dwa francuskie okręty wojenne. Tajfun zniszczył też niezmierną



Wytworni rabusie: Napad rabunkowy dwóch eleganckich bandytów na samotne podróżne w przedziale I klasy pociągu między Zmierzynką a Podwołoczyskami.

ilość łodzi rybackich i wyrządził milionowe szkody w budowlach portowych. Katastrofa miała tem większe rozmiary, ponieważ nastąpiła nagle i niespodziewanie. W żadnej z meteorologicznych stacyi nie przewidywano nadejścia tajfunu i dlatego nie dano sygnałów ostrzegawczych.

Największe straty ponieśli tubylcy w Honkongu, mieszkający w chińskiej dzielnicy. Łodzie ich pływające po górnej rzece Pearl-River, uchodzącej do morza w porcie Honkongu, przewracał tajfun setkami, zatapiając rybaków we wzburzonych odmętach fal. Wielu mieszkańców zginęło także od gruzów padających na okół, orkan bowiem ciskał wiele mniejszych czółen w ulice dolnego miasta. Cała straszna katastrofa trwała bardzo krótko, bo zaledwie sześć do siedmiu minut.

Z okazyi katastrofy trzeba przypomnieć parę szczegółów o istocie tajfunów. Ojczyzną ich są wody morza chińskiego. Tajfuny pojawiają się corocznie w miesiącach wrześniu i październiku. Podobnie jak cyklony, powstają tajfuny z różnicy ciśnienia w różnych warstwach powietrznych i są produktem ciepłego, wilgotnego powietrza nad morzem. Orkan występuje w postaci lejka, wirującego dookoła prawie prostopadłej osi i posuwającego się w pewnym kierunku. Szybkość tego ruchu naprzód wynosi mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, a zatem równa się prawie szybkości pociągu pospiesznego. Niszcząca siła tajfunu leży właśnie w tym szybkim ruchu. Szybkość obrotowa lejka jest jeszcze znaczniejsza, oceniają ją na trzy do czterech razy większą od ruchu postępowego. Niekiedy niesie tajfun z sobą deszcz lub burzę. Prawie zawsze jednak następuje nagle i niszczy wszystko, co wystercza nad powierzchnię ziemi, łamie drzewa, porywa je z sobą, zdziera z domów dachy i unosi w powietrze nawet bardzo ciężkie przedmioty. Dla okrętów jest tajfun szczególnie niebezpieczny, gdy znajdują się koło wybrzeża, bo wówczas grozi im rozbicie. Na pełnem morzu zazwyczaj unikają katastrofy dosyć szczęśliwie.

Czterdziestolecie lwowskiej Czytelni akademickiej.

W bieżącym tygodniu święcić będzie najstarsze i najpoważniejsze stowarzyszenie akademickie we Lwowie, „Czytelnia akademicka“, jubileusz czterdziestoletniego swego istnienia. Założone ono zostało w siódmym dziesiątku ubiegłego stulecia, a więc w czasie, w którym wogóle powstało bardzo wiele towarzystw, w którym więc i młodzież rzuciła się z całym zapałem do myśli budowania wspólnych ognisk, aby przy nich czerpać światło i ciepło, czerpać zachętę do pracy, do wspólnej nauki.

Przedtem była młodzież akademicka we Lwowie rozbita na jednostki i nie mogła nadać swym studyom ani swym dążeniom jednolitego kierunku i charakteru. Potrzeba więc było utworzyć punkt zborny, ognisko, przy którem by się wyrobiły wspólne przekonania, zatarły drobne różnice, przy którem by się spotykali starsi z młodszymi, ubożsi z zamożniejszymi, ożywieni chęcią wspólnej pracy dla wspólnych celów. Takiem ogniskiem stać się miała „Czytelnia akademicka“ we Lwowie. Założyciele jej pragnęliześrodkować w „Czytelni“ umysłowe życie młodzieży i stworzyć z niej węzeł rozrzuconych sił Wszechnicy, tem silniejszy, że między młodymi, których łączy przyjaźń i koleżeństwo.

Pod temi hasłami zawiązana, była im lwowska „Czytelnia akademicka“ przez całe czterdziestolecie wierną. Zrazu stowarzyszenie o skromnej liczbie członków, z małemi funduszami, wybiło się po kilku pierwszych latach działalności na bardzo wysoki poziom. Dziś liczy „Czytelnia“ z górą 600 członków, obraca rocznie kilku tysiącami koron, a fundusz jej żelazny doszedł obecnie do 4 000 kor. Biblioteka liczy przeszło 12.000 dzieł w około 30 000 tomów, w czytelni czasopism około 300 dzienników, tygodników, miesięczników itd., w języku polskim oraz niemieckim, francuskim, angielskim, rosyjskim.

W życiu umysłowem lwowskiej młodzieży akademickiej odgrywała i odgrywa „Czytelnia“ zawsze bardzo doniosłą rolę. W łonie jej mianowicie istnieje kilkanaście kółek, jak historyczne, przyrodnicze, prawniczo-ekonomiczne, krajoznawcze itd., które urządzają co tygodnia naukowe zebrania; w program ich wchodzą odczyty i pogadanki oraz ożywiona dyskusya.

Nie mniej ważną jest rola „Czytelni“ w życiu politycznem a zwłaszcza narodowem młodzieży lwowskiej. Gromadziła bowiem „Czytelnia“ zawsze wśród swych członków najdzielniejszą, pełną zapału i ognia, pełną szlachetnych dążności młodzież i w każdej sprawie ważnej, obchodzącej czy to dzielnicę naszą, czy cały naród, zabierała na swych poważnych wiecach głos i swemi enuncyacyami, szczeremi i szlachetnemi, dawała wyraz opinii młodzieży.

Na czele „Czytelni akademickiej“ stawali zawsze ludzie — choć młodzi — przecież wypróbowanego charakteru, którzy też w przyszłości wszyscy prawie ważne i doniosłe zajęli w społeczeństwie stanowiska. Do rzędu prezesów lwowskiej „Czytelni akademickiej“ należeli między innymi: Albin Rayski, obecny prezes lewicy sejmowej, Roman Pilat, zmarły prof. literatury polskiej, dalej dr Tadeusz Skałkowski, Franciszek Próchnicki, dr Godzimir Małachowski, b prezydent m. Lwowa, prof. i poseł dr St. Starzyński, Ekscelencya Leon hr. Piniński, śp. Karol Irzyczek, śp. Stanisław Schnuer Pepłowski, dr Aleksander Lisiewicz, dr Michał Grek, dr Ernest Adam, dr Konstanty Wojciechowski, zaś w drugiem pokoleniu dwaj synowie poprzednich prezesów, dr Zdzisław Próchnicki i dr Adam Skałkowski.

Jubileusz tego sympatycznego i poważnego stowarzyszenia ozwał się żywem echem wśród ogółu jego dawnych członków, a uroczystość, jaka z nim będzie połączona, wypadnie niewątpliwie wspaniale.



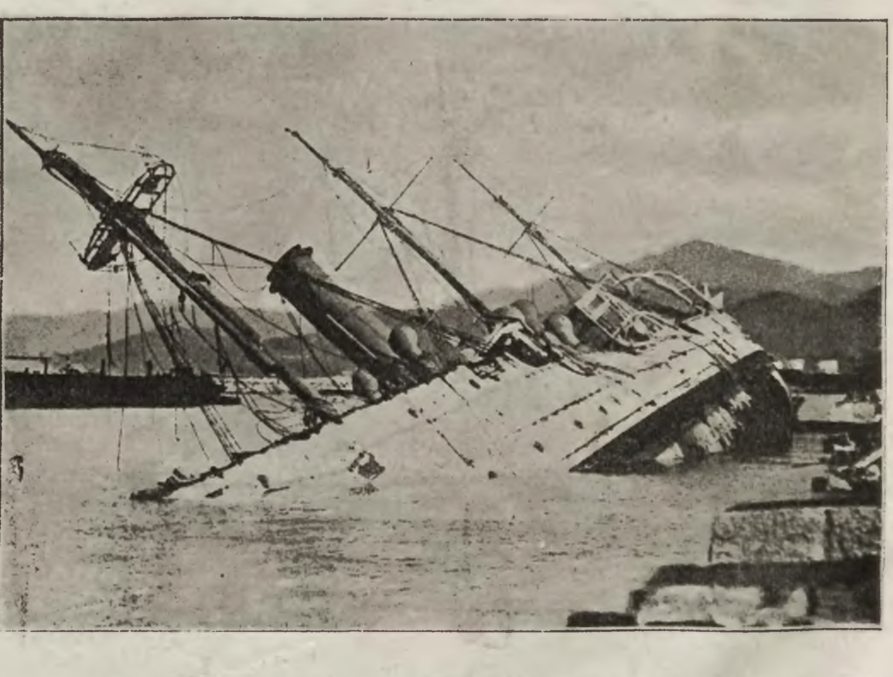
Tajfun w Honkongu: Francuska łódź torpedowa, zniszczona w porcie przez tajfun.



Tajfun w Honkongu: Widok portu w Honkongu zniszczonego przez tajfun.



Tajfun w Honkongu: Łódź torpedowa pogruchotana przez tajfun w porcie.



Tajfun w Honkongu: Okręt wojenny angielski „Foenix“, który siłą tajfunu nagle rzucony rozbił się o brzeg morski.

Śmierć Toporczanki.

Sympatycznego poetę Maryana Gawalewicza dotknął cios srogi: stracił jedyną córkę w kwiecie młodości. Śp. Gustawa Gawalewiczówna, idąc w ślady ojca, poświęcała się pracy literackiej, a Warszawa często czytywała prace jej pod pseudonimem Toporczanki. Najlepiej znały nieboszczkę czytelniczki „Bluszczu", w którym pracowała stale, pomagając ojcu, oraz obecnej redaktorce tego tygodnika dla kobiet, pani Seidlerowej. Brała ona również żywy udział w licznych dziełach miłosierdzia, należąc do stowarzyszeń dobroczynnych. Zamieszczając jej portrecik, jako pamiątkę dla licznych przyjaciół przedwcześnie zgasłej, łączymy wyrazy współczucia dla rodziców.

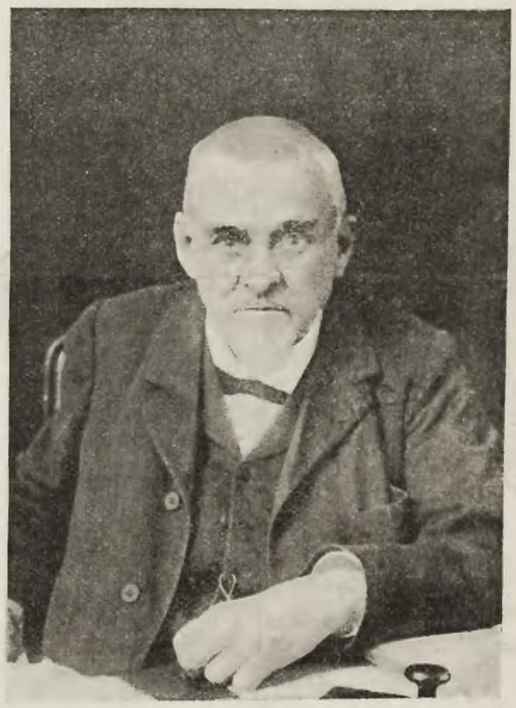


Smierć Toporczanki: Śp. Gustawa Gawalewiczówna, współpracowniczka warszawskiego „Bluszczu", pisująca pod pseudonimem Toporczanka.

Budowniczy złotego mostu...

Historyczna postać w pełnem znaczeniu tego wyrazu zeszła do grobu ze śmiercią sędziwego Włodzimierza Spasowicza, rozgłośnego obrońcy przestępców politycznych przed sądami petersburskimi i świetnego krytyka literatury polskiej i słowiańskiej, a zarazem jednego z największych polityków polskich w zaborze rosyjskim w ostatnich 40 latach. Gdyby był dziś, w zmienionych warunkach politycznych, propagował swoje poglądy i teorye, nie raziłyby one w tym stopniu, jak to było w chwili, gdy wystąpił Spasowicz ze swym niepopularnym programem zgody polsko rosyjskiej. Pełen wielkiego talentu, autor znakomitych dzieł o Wielopolskim byłby zajął niepospolite stanowisko, jako działacz narodowy, gdyby wpływy młodości, nad Newą spędzonej w przyjaźni z działaczami rosyjskimi, nie były wypaczyły jego poglądów w duchu, dla ogółu polskiego niesympatycznym i sprzecznym z prądem myśli polskiej, która dawno wybiegła poza krąg programu margrabiego. Niepopularność Spasowicza, marzącego fanatycznie o złotym moście między Polakami i Rosyanami, wzrastała w kraju z latami, gdy coraz namiętniej zaczął propagować swój program „ugody", stanąwszy na czele pionierów polityki „Kraju" petersburskiego. Niemal nienawidzony jako ojciec ugodowców warszawsko petersburskich, zdobył sobie wszelako tytuł do zasługi i pamięci dorobkiem naukowym Napisane po rosyjsku w 1865 i dopiero na polskie tłómaczone „Dzieje literatury polskiej" Spasowicza, pomijając tyle tomów cennych pism jego, zapewniły mu w naszych dziejach osobną kartę. Niemniej należy on i do literatury rosyjskiej. Pomimo tej dwoistości, przyznać trzeba nad grobem tego uczonego i publicysty, że był dobrym synem ojczyzny, którą całą duszą ukochał, a niepopularne w narodzie hasła wypływały ze szczerych jego przekonań; życie i działalność tego polityka-indywidualisty dowiodły, że nie wolno mu odmówić dobrej wiary, z jaką starał się pracować dla dobra społeczeństwa.

Włodz. Spasowicz, jako dziecko z mieszanego małżeństwa, wychowany został w wierze prawosławnej. Urodził się na Litwie w 1829. Studya ukończył w uniwersytecie petersburskim, gdzie następnie wykładał prawo karne. W r. 1862, wskutek zaburzeń studenckich, podał się do dymisyi i poświęcił się adwokaturze. Bardzo liczna klijentela nie pozbawiła go przecież ani ochoty, ani możności oddawania się z całem zamiłowaniem nau-



Budowniczy złotego mostu: Śp. prof. Włodzimierz Spasowicz, słynny adwokat, znakomity krytyk literatury i niepopularny publicysta, jako ojciec ugodowej polityki polsko-rosyjskiej, zmarły w 77 r. życia w Warszawie.



Czterdziestolecie lwowskiej Czytelni akademickiej: Wydział Czytelni akademickiej we Lwowie: w środku prezes Haluch-Brzowski (1), obok wiceprezes Kozaryn-Sołtys (2).

ce. Brał udział czynny w wydaniu zbioru praw polskich „Volumina legum“, oraz w przygotowaniu krytycznego wydania „Statutu litewskiego“. Od r. 1851 do 1870 ogłosił drukiem w Petersburgu kilkanaście wybitnych dzieł z zakresu prawa i historyi. Wydał w r. 1865 „Przegląd historyi literatur słowiańskich“. Znawca dziejów ojredagowany przez E. Piltza. W roku 1892 zaczęło się zbiorowe wydanie dzieł Spasowicza w 6 tomach w języku polskim. W r. 1902 osiadł w Warszawie, dokąd go ciągnęło zawsze zamiłowanie środowiska polskiego, jak również stosunki przyjacielskie wśród tamtejszych uczonych. W ostatnich latach mocno na zdrowiu podupadł, nie przeszka-



Fot. A Horowitz i O. Welker w Skolem.

„Sokół“ w Skolem: Grupa członków wydziału „Sokoła“ skolskiego, w rocznicę założenia gniazda: 1. rejent Madeyski prezes, 2. jego zastępca, poczmistrz Kublisz, 3. oficyał sądowy Andrzejewski, sekretarz. (Do art. na str. 18).

czystych i ojczystej literatury, pisał o nich liczne artykuły w „Wiestniku Jewropy“. W r. 1876 założył w Warszawie znakomity miesięcznik „Ateneum“, który wychodził dzięki subwencyi Spasowicza do r. 1901. Dzięki też jego pomocy materyalnej, jak niemniej i czynnemu współpracownictwu, powstał petersburski tygodnik p. t. „Kraj“, dzało mu to jednak pracować ciągle naukowo i zajmować się czynnie sprawami publicznemi. Przed paru dniami zachorował na influenzę, która pasmo dni jego przecięła.

Projekt pomnika Smolki we Lwowie.

Sprawa budowy pomnika Franciszka Smolki, który jak wiadomo, ma stanąć we Lwowie staraniem i kosztem gminy, wchodzi w fazę blizkiego urzeczywistnienia. Oto z polecenia rady miejskiej wykonał znany zaszczytnie artysta rzeźbiarz p. Tadeusz Błotnicki, plastyczny szkic pomnika.

Według tego projektu, pomnik, który w myśl uchwały rady miejskiej ma stanąć u stóp Wysokiego Zamku, przy jednej z alei, łączącej się z serpentyną, wiodącą na kopiec, przedstawia opartą o stok góry szkarpę obronną, okalającą szczątki murów jakiejś klasycznej budowli. Ściany tych murów pod pewnym kątem nachylone, łączy w pośrodku biust Franciszka Smolki, kolosalnych rozmiarów. U dołu na obu ścianach pomieszczone są płaskorzeźby, przedstawiające działalność Smolki, jako pierwszego prezydenta parlamentu austryackiego i jako czynnego pracownika przy wznoszeniu kopca, czemu przyświeca alegoryczna postać: „Miłość ojczyzny“. Po stronie drugiej, lewej, rozparł się wspaniały lew, trzymający kartusz, ozdobiony godłami Orła i Pogoni. Szczyt murów jest śladem romantycznej kolumnady.

Jak z tego pobieżnego opisu widać, wdzięczność mieszkańców Lwowa dla jego wieloletniego posła, więźnia za sprawę narodową, męża niepospolitych zasług i cnót obywatelskich, znajduje w projekcie artysty piękny, poetyczny i prawdziwie monumentalny wyraz, zwłaszcza, że i miejsce, wybrane na ustawienie pomnika u stóp góry zamkowej, na tle kwiatów i zieleni, potęgować będzie niezmiernie wrażenie imponującej całości.

Rzecz oczywista, że w obec takiego tła, pomnik sam musi być kolosalnych rozmiarów, aby dostroił się do wspaniałego naturalnego otoczenia, zaczem poszło, że pomnik będzie miał 12 metrów wysokości, a u podstawy 20 metrów szerokości. Tylko w takich rozmiarach piękne dzieło artysty nie chybi efektu i będzie prawdziwie monumentalną ozdobą naszej historycznej a tak uroczej góry zamkowej. Co do materyału, z którego mają być wykonane części rzeźbiarskie, wskazane jest, ażeby ze względu na zmienny nasz klimat, biust i obie płaskorzeźby były wykonane z bronzu.



Fot. E. Trzemeski, Lwów.

Projekt pomnika Smolki we Lwowie: Projekt artysty-rzeźbiarza Tad. Błotnickiego na pomnik, jaki Lwów ma wznieść na Wysokim Zamku, na cześć twórcy kopca Unii Lubelskiej, wielkiego parlamentarzysty, śp. Franciszka Smolki.

Sprawa ma być niebawem przedłożoną na pełnem posiedzeniu Rady miejskiej i spodziewać się należy, że budowa pomnika w tych rozmiarach i z najlepszego materyału uchwalona zostanie jednogłośnie.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy zdjęcie fotograficzne projektu pomnika Smolki, dłuta p. Błotnickiego.

Drożyzna mięsa a króliki.

Niesłychana, rosnąca niemal z dniem każdym w większych miastach drożyzna mięsa, musiała siłą faktów zwrócić uwagę konsumentów na inne artykuły, mogące zastąpić mięso wołowe lub wieprzowe. Za granicą przyjęło się wśród warstw uboższych mięso końskie; we Lwowie próba z tem mięsem nie powiodła się z rozmaitych powodów. Obecnie tedy poruszono myśl rzucenia na targ we Lwowie a następnie w innych miastach mięsa króliczego. Mięso to bowiem pod niejednym względem dorównywa mięsu wołowemu, cielęcemu, wieprzowemu itd., a jest bezporównania tańszem.

W innych krajach dawno uznano dobroć i taniość tego mięsa. W Anglii n. p lub we Francyi, we Włoszech, mięso królicze zaliczają do bardzo poszukiwanych potraw.

Dopiero teraz, gdy drożyzna innych gatunków mięsa dała się we wszystkich sferach ludności tak dotkliwie odczuć, znalazło się we Lwowie grono osób, które powzięły zamiar założenia królikarni na wielką skalę, tak, aby można corocznie wyprodukować poważną ilość królików na rzeź. Początek w tym kierunku zrobili pp. Olszewski i Bojarski, zakładając wzorowo urządzone królikarnię w pobliżu rogatki stryjskiej. Obaj oni mają kilkaset matek rasowych, jak francuskich, belgijskich i australskich, z których każda może mieć do roku 70 młodych, co daje około 210 kilogramów mięsa. Aby jednak módz skutecznie konkurować z mięsem innego rodzaju, należy na targ rzucić większą ilość mięsa króliczego. W tym celu zawiązuje się we Lwowie towarzystwo udziałowe hodowli królików, a że zainteresowanie się tą sprawą jest bardzo znaczne, należy się spodziewać, że rozwój tego towarzystwa będzie szybki, tembardziej, że gmina miasta popiera usiłowania prywatnych inicyatorów i idzie im na rękę.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcia fotograficzne, przedstawiające królikarnię pp. Olszewskiego i Bojarskiego we Lwowie.



Fot. dla „Now Illustrowanych" M. Münz, Lwów.

Drożyzna mięsa a króliki: Wzorowa królikarnia pp. Olszewskiego i Bojarskiego, koło rogatki Stryjskiej we Lwowie.

Z lwowskiego bruku.

(Jest już złodziej. — Generał Fuk i fukowcy. — Wypowiedzenie wojny Austryi i Rosyi. — Nie ma odpowiedzi. — Czego potrzeba do wojny? — Kasa wojenna, ciotka generała i wyrzucony obóz — Gdzie leżą krajowe pieniądze? — Dobry plan i fuknięcie zdobyczy. — Pięciu walecznych w areszcie — Tryumf policyi)

Jest już złodziej, czy oszust, który w lutym b. r. chapnął w kasie Banku krajowego 20 000 koron na fałszywą asygnatę. Powiadają, że jest nim p. Leon Fuk, znany i znakomity człek, który acz jeszcze nie odznaczył się w żadnej wojnie, obrał się sam naczelnikiem wojsk narodowych i przygotowywał zbrojne powstanie Policya znalazła nawet w jego koszarach, t. j. w pokoju kawalerskim broń mianowicie cztery rewolwery, z tych trzy zepsute, a jeden całkiem do niczego Broń zepsuła się prawdopodobnie na manewrach narodowych, urządzonych przez sztab generalny „fukowców" za miastem. Sztab generalny i wogóle cała gwardya wojenna p. Fuka składała się z pięciu żołnierzy, ale znakomicie wyszkolonych Do zbrojnego powstania jeszcze nie przyszło, bo p. Fuk jeszcze czekał. Na kilku zgromadzeniach wypowiedział wojnę Austryi i Rosyi i czekał na odpowiedź. Odpowiedzi nie przychodziła, ale p. Fuk na czele swojej gwardyi jeszcze ciągle nie zaczepiał czynnie armii wrogów i tylko czekał. Tymczasem przygotowywał się do przyszłej ruchawki zbrojnej. Jako wódz naczelny zaznajamiał się powoli z zasadami i taktyką innych wodzów znakomitych i przy tej sposobności dowiedział się, że jego starszy kolega, Napoleon Wielki, także tęgi wojownik, powiedział raz, iż do wojny potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy.

Tedy pomyślał sobie p Fuk, że może Napoleon miał racyę i zaczął rozglądać się za pieniędzmi na cele wojenne. Lichwiarze lwowscy nie zrozumieli się na doniosłości celu tej pożyczki i odmówili generałowi kredytu Ciotka naczelnika posyłała coraz mniej, za co ją kiedyś wyklną napewne kroniki narodowe. Doszło wreszcie do tego, że kasa wojenna „fukowców" po zakupieniu ostatniego pistoletu na tandecie, wyczerpała się do samego dna, a gospodarz kamienicy, w której naczelnik stał tymczasowo obozem, wymówił mu zajmowany przezeń pokój kawalerski z balkonem i osobnem wejściem Wobec tego wojska narodowe generała Fuka znalazły się odrazu pod gołem niebem, bez dachu, bez pieniędzy i bez humoru. Lecz wielki wódz nigdy nie traci nadziei Zwołał swoje wojska, a gdy już wszyscy byli w komplecie, tj. w liczbie pięciu, przemówił do nich gorąco, jak to tylko taki wódz potrafi i wezwał, aby obmyśleli środki. Na tej radzie wojennej zapadła uchwała, której złoty sens jest mniej więcej ten: Armia „fukowców" chce walczyć dla kraju, ergo kraj ma dostarczać środków wojennych, tj. pieniędzy. Gdzie leżą krajowe pieniądze? W krajowej dyrekcyi skarbu? Nie. Tam są austryackie, a zatem wrogie nam pieniądze, któremi brzydzi się wódz genialny, p. Leon Fuk. Ale pieniądze krajowe mieszczą się w instytucyach krajowych, do których należy Bank krajowy, zasługujący w pierwszym rzędzie na uwzględnienie A więc postanowiono, że Bank krajowy ma dać pieniądze. Dyrektor tego banku, dr Zgórski nie był przy tej uchwale obecnym i należało wątpić, czy bank odrazu wypłaci potrzebną sumę na cele ruchawki. Dlatego zapadła druga uchwała, ażeby pieniądze potrzebne zdobyć w banku. Lecz gdy pokazało się, że siły wojenne „fukowców" są jeszcze na razie zbyt słabe, aby przemocą zdobywać łup bankowy, przeciw czemu mógłby coś mieć i policya lwowska, znana ze swojej antinarodowej działalności, a ewentualnie i wojsko austryackie, należące, jak wiadomo, do przeciwnego obozu, przeto zdaniem rady wojennej, w myśl sentencyi, że cel uświęca środki, postanowiono na razie zdobyć te pieniądze dla kasy wojennej cichaczem. Po wojnie, gdy będzie nasza wygrana, może się świat dowiedzieć, skąd szły pieniądze na powstanie i milicyę, bo wtedy policzą to nawet do dobrych uczynków.

Tak to ułożono i obliczono wszystko dokładnie, a plan musiał być dobry, skoro się powiódł. To jest, nie wybuchło jeszcze powstanie i nie złamano wojsk austryackich, ale pieniądze istotnie zdobyto przy pomocy jakiegoś woźnego bankowego, brata jednego z wojowników i członków sztabu Fuka.

Fuknął więc pan Fuk pieniądze, ale musiał nie przyjąć do swego programu wojennego zasady powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego rozdziału zdobytych pieniędzy między swoich generałów, skoro jeden z nich, podobno bardzo przy tym podziale pokrzywdzony, zdradził świętą sprawę i opowiedział wszystko dyrektorowi banku, panu Zgórskiemu. Ten mając ucho głuche na najświętsze sprawy narodowe oddał wszystko policyi, która całą armię „fuków" przyaresztowała. Z pieśnią „Pięciu walecznych opuszcza swój obóz" poszli do aresztu, ale nie tracą nadziei, że gdy wyjdą, zrobią swoje. Generał Fuk nie podaruje wojskom austryackim i austryackiej policyi!

Ale ze skradzionych pieniędzy znaleziono podobno bardzo mało, albo wcale nic. Armia „fukowców" chciała przeczekać rewolucyę rosyjską a potem wyruszyć w pole, bo obok siebie takie dwie rewolucye nie mają sensu, zwłaszcza, że tamta rosyjska, jako nieco większa, mogłaby zagłuszyć lwowską z Fukiem na czele. A p. Fuk nie chciał konkurencyi, on chciał być jedynym i wtedy tylko mógł liczyć, że się przyłączy reszta narodu do jego armii z pięciu.

Był czas, kiedy p Fuk pracował rzetelnie, aby pomnożyć swój sztab. Jeździł po miastach prowincyonalnych, gdzie werbował ochotników, we Lwowie wygłaszał płomienne mowy na cmentarzu i pod nogawkami Mickiewicza, wreszcie założył nawet specyalny organ wojenny „Naród", w którym co tydzień nawoływał swoich ludzi do powstania, a raz nawet tak gorąco proklamował ruchawkę, że prokurator przestraszył się i skonfiskował Fukowi cały nakład „Narodu". Po wydaniu dwóch numerów zmiarkował Fuk, że naród już przygotowany dostatecznie do boju i dał spokój. Zawiesił swój „Naród" i czekał sposobności do dania sygnałów.

Tymczasem zamiast niego — skutkiem znanej zdrady — dała sygnał policya i aresztowano go. Jego wraz z całym obozem i arsenałem broni — jak wyżej. Los Ojczyzny pozostanie zatem przez jakiś czas jeszcze niezmieniony. Skutkiem tego panuje w mieście wielkie przygnębienie Za to policya tryumfuje, że „udało jej się" wyłapać oszustów i co najważniejsze, stłumić powstanie w zarodku.

= *Kl* =

Krakowski tydzień muzyczny.

Najważniejszem wydarzeniem w światku muzycznym Krakowa, był „Recital" pianisty Józefa Hoffmana, który rozpocząwszy tu przed kilkunastu laty karyerę koncertową jako cudowne dziecko — przybywa dziś do nas już dojrzałym artystą. Krytyka zagraniczna dawno pochyliła pióro przed talentem sympatycznego, lubianego i wysoce cenionego naszego artysty-ziomka, stawiając go w rzędzie tych największych pianistów współczesnych, którzy obok niezwykłej techniki, wiedzy muzycznej, talentu kompozytorskiego itd. posiadają wielki smak i dystynkcyę, a nadto w wykonaniu utworów subtelnych wdzięk prawie niewieściego uderzenia w instrument, i delikatność rysunku melodyi, jak niemniej jej tematów. Hoffman wciela się w kompozycyę reprodukowaną przez siebie, podporządkowując jej duchowej stronie wszystko to, czem inni wirtuozi starają się olśnić słuchaczy i wydobyć na jaw.. technikę, sprawność wirtuozowską i t. p. przymioty, aby dać dowody pracy i studyów. Chociaż program Hoffmana obejmował utwory różnych kompozytorów, takich, jak Bach, Mozart, Schubert, to jednak głównie chodziło artyście o zaprodukowanie dziesięciu Etud Chopina, które pojął zupełnie indywidualnie, oddając je z nieporównaną maestryą i niedoścignionem subtelnem odczuciem i zrozumieniem myśli genialnego kompozytora. W tych warunkach z przedziwnym artyzmem odtworzył Etudę eis-mol tudzież Etudę Gesdur, a w końcu i e-mol. Publiczność krakowska odczuła intuicyjnie nastrój i usposobienie muzyka, który w dziele odtwórczem stanął na najwyższym szczeblu wyrazu artystycznego i gorąco go oklaskiwała. Że publiczność krakowska umie nagradzać szlachetne usiłowania w dziedzinie artyzmu, wymownym dowodem była ostatnia produkcya „Harmonii", Towarzystwa dążącego pod energicznem i starannem kierownictwem dyrektora Górskiego do coraz to nowych zdobyczy, coraz to świetniejszych rezultatów. Wykładnikiem tego postępu był koncert poświęcony twórczości Mozarta, którego 150 rocznicę urodzin obchodził w tym roku cały świat muzyczny. Orkiestra jako ciało wykonawcze, sprawiła się dzielnie, brzmiąc czysto, zdrowo i zgodnie tonem pełnym, okrągłym i ujmującym. — W program tej wysoce interesującej produkcyi, którą rozpoczęto bardzo poprawnem odegraniem uwertury z opery „Idomeneco" — wchodził cykl z pięciu ustępów muzyki baletowej z tejże opery, parę aryj z oper Mozarta oraz „Symfonia C-dur" znana pod nazwą Jupiter. — Wykonanie tych utworów stało na najwyższym stopniu tego, co może wogóle wydobyć kierownik artystyczny z orkiestry, pracującej i rozwijającej się w bardzo trudnych warunkach i bytu i rozwoju.



Józef Hoffman.

Za usiłowania jednak przedstawione w tej produkcyi należą się tak p. Górskiemu jak i muzykom i amatorom zasiadającym przy pultach słowa rzetelnego uznania.

Wyjątki z oper odśpiewała przy akompaniamencie orkiestry p. Lina Sieradzka, nader dystyngowana śpiewaczka rozporządzająca głosem nie wielkim, lecz pielęgnowanym w starannej kulturze śpiewackiej — a posiadającym miły, ujmujący dźwięk i gładką koloraturę. Materyał zaiste zasługujący na dalszą staranną pieczę i kształcenie.

—urs.—

„Mateczka"

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

29 (Ciąg dalszy).

Ze zdumieniem zbliżył się do niej młodzieniec; słyszał on wiele o owej tercyarce, która swego czasu dokonała tak wielkiego przewrotu w domu jego stryja, ale jej nigdy przedtem nie widział.

Wyobrażał sobie tedy, że zastanie w charakterze rezydentki w dobrach generała G... osobę poważną w stroju przez pół zakonnym i z różańcem u pasa.

Tymczasem powitała go kobieta, wystrojona kokieteryjnie, jak starzejąca się panienka, na wieczorku tanecznym uchodząca za podlotka.

Niemniej świecką była jej mowa, mimo, że chłopcu skóra w drodze cierpła na myśl, iż znajdzie się pod opieką mentorki, mającej na ustach tylko słowa bigoteryjne.

Felicya od pierwszej godziny wołała go po imieniu, a siebie nazywać mu kazała ciotką. Obiad przeszedł wesoło, poczem odbyli przejażdżkę, obeszli cały pałac i park, żeby znowu zasiąść do stołu. Młodzieniec nie miał głowy zbyt tęgiej i tylko przy rzadkich okazyach pijał piwo. Tu zaś pod przymusem wychylał bez liku, kieliszek po kieliszku, win mocnych, że wreszcie w połowie wieczerzy nic już nie wiedział, co się z nim działo i gdzie się znajdował.

Nazajutrz obudził się dopiero po południu i z trudem wstał z łóżka zmęczony i jeszcze oszołomiony. Kiedy się spotkał przy stole z gospodynią, rozmawiali już z sobą jak najpoufalej i tylko chwilami przy służbie starali sie mitygować.

Dzień po dniu mijał, a o agronomii nie było nawet mowy. Bawili się w najlepsze, sobą tylko zajęci oboje, że nawet czasu nigdy nie było na napisanie listu do stryja Edwarda.

To też młodzieniec tak przywykł do jej wyłącznego towarzystwa, że nie wiedział, co z sobą począć, gdy pewnego razu sam pozostał w pałacu na całą dobę.

Wyjechała bowiem Felicya do wsi sąsiedniej w odwiedziny do proboszcza prawosławnego, przed paru miesiącami właśnie owdowiałego po półroczem z żoną pożyciu.

Pan Felicyan nie mógł pojąć celu wizyty ciotki u tego właśnie sąsiada, tem bardziej, że nigdzie w sąsiedztwo jeździć nie miała zwyczaju. Ale mu ona perswadowała, że ma z popem odbyć szereg konferencyj niezmiernie ważnych, od których kiedyś będzie zależał — jak się wyraziła — los tysięcy istnień ludzkich.

Na konferencye te wybierała się ona często odtąd przed wieczorem, a przyjeżdżała zazwyczaj dopiero następnego popołudnia.

— I nad czemże wy tam radzicie, niechże się i ja dowiem — prosił Felicyan.

— Poczekaj cierpliwie, czas przyjdzie, że cały kraj dowie się o tem, nad czem ja ciągle od pewnego czasu pracuję usilnie.. Ale wtedy imię moje stanie się głośne, a osoba moja doczeka się czci niezwykłej... Zobaczysz... Przyjdzie czas na to... To będzie dzieło mego całego żywota...

. . . .

Pan Felicyan zaczął myśleć.

— Co to wszystko ma znaczyć?

Owa ekstercyarka nabożna, która dni całe — jak mu opowiadano — spędzała na odmawianiu różańca, która nocami podobno modliła się ciągle, a w rzeczach świeckich nawet nie umiała z nikim mówić inaczej, jak tylko językiem ascetów...

Ona, ta siostra Felicya z dworu jego stryja, która widzenia miewała wśród rozmodlenia..

Czyż podobna, by ta sama kobieta w tak krótkim czasie mogła odmienić się do tego stopnia...

Wszakże on ją tu zastał odrazu tak niepodobną do tego portretu, jaki wyimaginował sobie z opowiadań stryja Edwarda i innych osób, znających „siostrę" za czasów jej pobytu w Prusach Królewskich.

Co prawda, słyszał on i odmienne o niej zdania, spotykał się z uwagami, które w puch rozwiewały jej ascetyczność i z osoby pobożnej, nawet za świętobliwą niewiastę chcącej uchodzić, robiły po prostu sprytną awanturnicę.

Jednakowoż stryj uprzedził go w porę, że ma ona wrogów ciężkich a licznych i ci wszyscy czernią ją naokół — jak zwykli czynić źli ludzie względem niezwykle dobrych, ale cokolwiek by nie powiedzieli o niej — zapewniał pan Edward bratanka swego — jest oszczerstwem potwornem, któremu nie należy dawać ucha do posłuchu...

Cóż o tem wszystkiem ma on sądzić dzisiaj — on młody i niedoświadczony, życia jeszcze nie znający...

Stryj był dziwakiem i jest nim w coraz gorszym stopniu — to prawda.

Ale Felicyan wierzył w stryja i kochał go.

Skoro mu ten powiedział, że sam żywi cześć wielką dla niewiasty, którą nazywa siostrą swoją, a pod której opiekę posyła bratanka, to młodzieniec w najlepszej wierze powziął głębokie uszanowanie dla gospodyni generała G. i jakkolwiek sam nie był bigotem, nie bardzo więc uśmiechała mu się myśl, iż przyjdzie mu tam na wsi obcować ciągle ze świętoszką, to jednak jechał pod Smoleńsk chętnie i nie buntując się, zamierzał postępować względem „siostry" stryja zupełnie tak, jak mu ten przykazywał.

Aliści ta kobieta od pierwszej chwili zachowywała się znów względem niego niemal tak, jak owe gorszego gatunku kokotki, które po drodze w Warszawie napotkał i które mu się bardzo podobały swą przedziwną swobodą..

Zamiast uszanowania, powziął on dla Felicyi zaraz od początku sympatyę tego rodzaju, jaka wiązała go przed rokiem z pewną daleką kuzynką, studentką szwajcarską.

Ale już za parę dni stosunki te sympatyczne zacieśniły się bardziej między nimi, aniżeli krótka znajomość z kuzynką na wakacyach.

Młodemu chłopcu nie było wiele potrzeba do tego, by „ciotka" Felicya na dobre zawróciła mu w głowie.

Zakochał się w niej.

Z początku nie zastanawiał się nad tem. Przyszło to jakoś samo z siebie, niewiadomo kiedy i porwało go...

Byli ciągle razem, niemal nie rozłączali się nigdy.

Więc czasu nie było na refleksye.

Aż wreszcie dopiero wizyty tajemnicze pani gospodyni w sąsiedztwie, dały mu sposobność do rozmyślania pod jej nieobecność w pałacu.

Po co ona tam jeździ?

Dlaczego ona wogóle przebywa tutaj w domu prawosławnym i co więcej, przyjaźnić się zaczyna z prawosławnym duchownym..

Ona — taka katoliczka...

Chociaż nie wiadomo, czy można ją uważać za gorliwą katoliczkę rzymską..

Wszakże tak często krytykuje ona urządzenia Kościoła rzymskiego...

W tem coś jest. Nie bez powodu są te jej konszachty z popem...

Wogóle jej się coś marzy, jakaś rola niezwykła, którą chciałaby odegrać w dziedzinie życia religijnego...

Skądże jednak ten epizod aż nadto świecki w jej życiu bigoteryjnem — ten pobyt jej w charakterze gospodyni pod dachem generała rosyjskiego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LUDWIK STASIAK.

Nieczytelne pismo.

(Humoreska).

Gdy redaktor brał do ręki mój rękopis, bladł zwykle. Siedziałem przy nim na fotelu, wpiłem w niego oczy i paliłem papierosa za papierosem. On udawał, że czyta. A ja wiedziałem, że udaje. Bo on był bladym na samą myśl, że będzie musiał te bazgroty i łamańce przeczytać. Trzymał przez chwilę rękopis mój przed oczami, wreszcie rzekł

— Oczy mnie dziś bolą.

— Bardzo z panem współczuję. Racz jednak pan zrozumieć, że przyniosłem panu mój utwór po to, abyś mi pan wypłacił honoraryum. Zechciej więc pan przeczytać, lub daj do czytania współredaktorowi, który pana zastępuje.

— Niemasz go.

— Gdzież jest?

— Zobaczył, że pan idziesz do redakcyi z rękopisem i uciekł przez okno.

— Człowiek ten jest nędznym tchórzem.

— Zechciej pan być wyrozumiałym. On gotów jest z pogardą śmierci iść na bagnety, on gotów urągać straszliwej muzyce armat, on gotów wytrzymać straszne męki tortur, zniesie szarpanie ciała rozpalonemi kleszczami, boi się jednak śmiertelnie dwóch rzeczy.

— Czego?

— Rękopisu pańskiego i azyatyckiej cholery.

— Zatem niech pan czyta.

Redaktor spojrzał na mnie wzrokiem, w którym była mgła. Majaczyła w tych oczach mgła, aby wnet ustąpić, aby skrystalizować się w iskrzące brylanty łez. Upadł przedemną na kolana i głosem, który dławiły pchające się do gardła łzy, błagał mnie:

— Ulitnj się pan!!

Zapaliłem trzydziestego szóstego papierosa i rzekłem z akcentem energii:

— Ja teraz muszę mieć honoraryum.

Redaktor powstał, chwycił w drżące dłonie mój rękopis i jął się namyślać, co robić. Wiedział, że musi czytać. Bo zna autorów, zna ich nieprzyjazne na redakcye zamachy. Za dawnych, dobrych czasów działy się straszne rzeczy. W Warszawie były wówczas w modzie wielkie, kilkotomowe powieści. Wydawcy kupowali je na wagę. Przeciętna cena cetnara powieści o Szwedach wynosiła 362 ruble. Rozumie się samo przez się, że przy znaczniejszym odbiorze dawało się rabat. Mam z tych czasów wspomnienia rzewne. Raz brakowało mi paltota. Na sprawienie paltota, butów i zapłacenie komornego, potrzebowałem najmniej dwudziestu funtów powieści. Co tu robić? Pieniędzy niema i powieści także niema. Ale jest w sercu do wydawców zawziętość wielka. Złość do lichwiarzy wydawniczych i pragnienie pomsty. Ona mię gnała do czynu. Wnet przyniosłem redaktorowi dwadzieścia pięć funtów powieści. Ujrzawszy moje nieczytelne pismo, zbladł. Pragnął zbyć czytanie. Przeczytał tylko początek i koniec. Powieść podobała mu się niezmiernie. Na pierwszej kartce Alfred spojrzał w oczy Leokadyi i przyszedł zaraz do przekonania, że bez niej żyć nie może. Na ostatniej kartce Leokadya do ślubu ubrana spotyka się w noc majową z Henrykiem, którego od dawna kochała, upada w jego objęcia, a usta ich wiąże namiętny pocałunek. W krzakach słychać strzał — to ubrany do ślubu Alfred nie może przeżyć zdrady i odbiera sobie życie. — Redaktor przeczytał początek i koniec powieści, położył ją na wagę, a gdy języczek jej poziomo stanął, rzecze:

— Należy się panu trzydzieści osm rubli i dwadzieścia sześć kopiejek.

— Przebacz pan, ale tu jest 24 kilo i 28 gramów, zatem 39 rubli i 17 kopiejek.

— Dobry pan masz wzrok — rzekł redaktor, starając się ukryć pomieszanie, wynikłe stąd, że chciał mnie oszukać na wadze.

Wziąłem pieniądze i poszedłem. A pomsta i rozkosz moja była zupełna. Bo za chwilę do tegoż redaktora wpadł zecer, któremu włosy powstały na głowie. W ręku miął nerwowo mój rękopis.

— Stała się rzecz straszna!

— Coż takiego?

— Cała ta powieść sensu niema. Już początek jej sensu niema.

— Co pan pleciesz?! Przecie początek czytałem. Na pierwszej kartce Alfred spogląda w oczy Leokadyi.

— Niech dyabli wezmą i Alfreda i autora i Leokadyę. Na drugiej stronie znika bowiem pod ziemię Alfred i Leokadya, a zaczyna się tekst: Te są słowa, które mówił Mojżesz do wszego Izraela za Jordanem na pustyni polnej przeciw morza Czerwonego między Faran i Thofel i Laban i Haseroth...

— Czyś pan zwaryował? Co pan mówisz o wszem Izraelu?

— To nie ja mówię. To powieściopisarz mówi! Przecie czytam z rękopisu. Od drugiej stronicy przepisał autor całą księgę Deuteronomium, poczem idzie księga Jozue i prawie cały Testament.

— A gdzież jest Leokadya?

— Mówiłem panu, że ją dyabli wzięli. Słowa o niej niema.

— Jakto niema?! Sam czytałem. Przecie Henryk w łeb sobie strzelił.

— Tak, ale dopiero na ostatniej stronicy.

— Cóż jest na przedostatniej?

— Na przedostatniej? Biblia pisze, jako Judasz, którego zwano Machabeuszem, uderzył na Serona hetmana syryjskiego.

Redaktor z bólu zemdlał.

— Przeszło dwadzieścia cztery kilogramów stracone!

Od tego czasu postanowił czytać moje nieczytelne rękopisy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z półek księgarskich.

Biblioteka powszechna nr. 561 do 580. Ruchliwa księgarnia W. Zukerkandla w Złoczowie wydała świeżo, jako dalszy ciąg popularnego wydawnictwa pt. „Biblioteka powszechna“ kilka rzeczy, które publiczność czytająca przyjmie zapewne ze szczerem zadowoleniem. Wogóle zaznaczyć musimy, że ostatnie numery „Bibl. powsz.“ odznaczają się doskonałym wyborem. Nadzwyczaj niska cena — 12 centów za tomik — ułatwia nabywanie tych książeczek każdemu, zwłaszcza młodzieży szkolnej, która za kilkanaście centów może nabyć najcenniejsze dzieła literatury, tak dawnej, jak i współczesnej. Staranność w wydawnictwie, piękny druk i papier, to zalety, które podnoszą zewnętrzną wartość „Biblioteki“, wydawanej na wzór niemieckiej biblioteki Reclama. Szare tomiki „Biblioteki powszechnej“ powinny się znajdować w każdym domu polskim.

Oto spis najświeższych numerów tej „Biblioteki“:

Gustaw Zieliński „Kirgiz“. nr. 561

Hjalmar Bergström: „Piwowarzy“, sztuka w 4 aktach, przełożyła z oryginału duńskiego Józefa Klemensiewiczowa, nr. 562 3.

Adolf Starkman: „Monologi humorystyczne“, tomik II, nr. 564.

Maksym Gorkij: „Więzienie“, przełożył H Salz, nr. 565.

Knut Hamsun: „Włóczęga“, autoryzowany przekład Jadwigi Przybyszewskiej. nr 566.

Mieczysław Rościszewski: „Jak doskonalić samego siebie“? Szkoła powodzenia, szkoła talentów i rozwój charakteru, nr 567-570

Ignacy Chodźko: „Obrazy litewskie“, tomik IV. Brzegi Wilii nr 571-573

Gabryel d'Annunzio: „Dziecko rozkoszy“, przekład Ad. Callier, nr. 574-80.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożył J. Brzeziński, Kraków.

I.

Pierwsze wskazuje, a *drugie* rzeka,
Z włoskiego kraju w morze ucieka.
Wyjdź z *trzeciem-pierwszem* na *drugie-trzecie*,
A ujrzysz zioła, pachnące kwiecie,
Wspaniałe łany, które się mienią
Złotem i srebrem, bujną zielenią.
Całość — niekiedy ozdabia drogę,
Więcej powiedzieć chyba nie mogę...

II.

Pierwsza-druga — dokuczliwa,
W drugiej trzeciej zwykle bywa;
Druga wspak znów wiele znaczy,
Gdy się znajdzie w kartach graczy,
Pierwszą trzecią się zalicza
Do utworów Mickiewicza,
Pełnych ognia i potęgi.
Choć ich niema ani księgi,
Całość — ściślej trochę brana,
W innych częściach świata znana.

Logogryf.

Ułożył A. Rotter, Stanisławów.

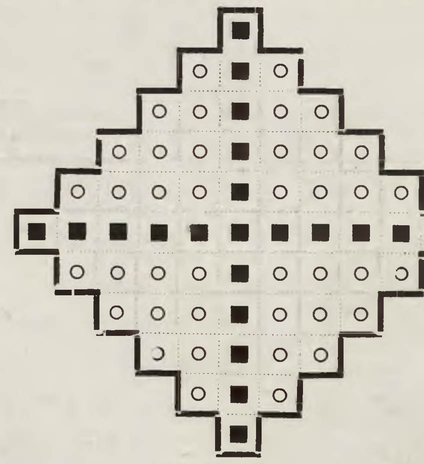
Ze zgłosek: a, a, a, a, bar, bło, cki, cy, d, dam, den, dem, dze, dy, e, e, fi, girm, i, ko. kon, mal, ne, nie, nie, non, och, od, piec, ra, ro, ry, syl, we; za, za, ze — ułożyć 15 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znakomitej powieściopisarki polskiej, a litery końcowe, w tymsamym czytane kierunku, tytuły dwóch jej powieści.

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej raj. 2 Prowincya włoska. 3. Samogłoska i spółgłoska. 4. Inaczej ewangelia. 5 Miasto we Włoszech. 6. Inaczej renesans 7 Miasto w sandomierskiem. 8. Imię męskie. 9. Boginie zemsty. 10. Sąd, wydany zapomocą rozumowania. 11 Autor komedyi „Fircyk w zalotach“. 12. Inaczej mogiła. 13. Wykrzyknik. 14. Jedno z najpiękniejszych miast w północnych Włoszech. 15. Imię męskie.

Kryptogryf.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Kropki i kółka zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe, w pionowym i poziomym czytane kierunku, utworzyły tytuł jednej z powieści Kuncewicza.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Bożek pasterzy u starożytnych Greków i Rzymian. 3 Kapłan indyjski i czarodziej. 4. Pierwsza część tytułu dotyczącej powieści. 5. Inaczej pilnie. 6 ? 7. Autor „Z wieczornych gawęd“. 8 Pierwsza część tytułu jednej z lepszych komedyi Fredry 9. Potrawa. 10. Sławny markiz i dyplomata japoński. 11. Samogłoska.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy należy ułożyć: a, fa, i, jew, ka, ki, kir, klę, klę, kra. lud, od, pan, ski, skrzę, sta, sza, te, te, tnie, o, u, z, za, za

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya jako nagrodę **wspaniały tort orzechowy** z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 42.

Szarady.

I. Boruta. II. Arytmetyka. III. Torpedowiec. IV. Amarylisy.

Logogryf.

Wesel**e**, **Y**psylant**i**, **s**anatoge**n**, **p**ermutacy**e**, **J**eznpo**l**, **a**morus**o**, **N**iebogato**w**, **S**zukiewic**z**, **K**alasant**y**, **i**miesłó**w**.

Wyspiański — Wyzwolenie.

Arytmogryf.

P, c**e**p, ła**t**ka, ant**r**akt, Petr**o**nius, abo**n**ent, Dr**i**na, B**u**g, **s**.

Petronius.

Zagadka.

K. S**a**n, **ł**za, Ch**i**ny, H**m**er, Ga**l**icya, W**e**necya, Ko**r**ea, Ka**z**ań, a**p**o, e**r**a, Ni**z**za, ki**e**ło, Lou**r**des, Mal**w**ina, Dr**a**ga, Za**t**or, sz**e**wc, Ta**t**ry, Ha**m**an, Mal**a**kka, U**j**ejski, Reich**e**nhall, Seku**l**aryzacya.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

Kryptogram.

M, k**o**s. So**k**al, ost**r**ygi, Mokr**z**ycka, Mar**y**sia, Ja**c**ek, a**k**r, **a**.

Mokrzycka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: K. Fuchs Czeremchów, Siła Nowiccy Lwów, M. Lan: Lwów, B. Ramułtowa Jeżów, Wł. Dziewiński Kraków. Wł. Studziński Kraków, T. Borzęcki Lwów, T. Mendys Tarnobrzeg. L. Bujukowa Bełz, K. Szpunar Lwów, Fr. Kośmider Nowy Sącz, dr. J. Kasparek Lwów, J. Haładej Górki. M. Rożański Libusza, Al. Bocsoń Bóbrka, H. Mokrzycka Drohobycz, J. Badura Rożdzień, W. Stanula Samocice, M. Świtbkowa Rzeszów, M. Cetera Dubiecko, A. Batko Lwów, T. Domain Sanok, J. Kuszpeciński Kraków, E Bogdalska Koropuż, C. Głębocki Kraków, K. Chodkiewicz Zbydniów, dr. St. Warmski Turka, A. Rotter Stanisławów, H. Ulrych Malin, B. Jastrzębski Lwów, Tow. „Zgoda“ Krosno, Fr. Kalita Gawłuszowice, H. Leligdowicz Fraga.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał przez losowanie p. B. Jastrzębski we Lwowie. Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.